

# KUŹNICA

Rok 2

Łódź, 11 listopada 1946 r.

Nr 44 (62)

**TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI**

KONSTANTY GRZYBOWSKI

## WYBORY A STRUKTURA SPOŁECZNO-GOSPODARCZA

**P**RZED wrześniem 1939 na około 20 milionów z rodzinami samodzielnych gospodarzo przypadało w Polsce około 10 milionów pracowników najemnych. Pozornie Polska była krajem o szeroko rozproszonych drobnej własności i przedsiębiorczości prywatnej, krajem który — jak sądzi obrońcy dawnego, dziewiętnastowiecznego typu kapitalizmu, jest najbardziej, swą strukturą społeczną, zabezpieczonym przed wszelkimi próbami socjalizmu. Upowszechnienie własności było — pozornie — znaczne, koncentracja kapitału była — pozornie — niewielka. Polska — obok Francji — wydawała się być krajem drobnego właściciela warsztatu pracy, do swej własności i do ustroju, gwarantującego mu tę własność, przywiązanego.

Ale — tylko pozornie. Na około 20 milionów samodzielnych, przeszło 16 milionów przypada na rolnictwo. To korektura pierwsza. Tylko rolnictwo w Polsce, to szeroko rozproszona własność — formalnie — prywatna, to odcinek drobnokapitalistyczny i dlatego — można by sądzić — naturalny obrońca prywatnej własności. Ale — określiliśmy tę strukturę rolnictwa jako wielkiej masy prywatnych warsztatów pracy jako tylko „formalną”. Rolników — właścicieli gospodarstw z rodzinami — jest 16 milionów. Ale ponad 40 proc. gospodarstw rolnych to gospodarstwa poniżej 3 ha. A w gospodarstwach poniżej 3 ha roczny przychód z 1 ha wynosi przed wrześniem 1939 zł 148 a roczny dochód netto z 1 ha wynosi 33 zł. Właściciel, który oddaje ze swego rocznego przychodu państwu, samorządowi, wierzycielowi, dostawcy narzędzi i nasion rolniczych przeszło 3/4 przychodu a ma dochód netto 33 do 99 złotych rocznie nie jest — z społecznego punktu widzenia — prywatnym samodzielnym przedsiębiorcą. Jest — z punktu widzenia stopy życiowej — proletariuszem, pozbawionym ponadto tej opieki społecznej, jaką proletariuszowi utrzymującemu się z pracy najemnej daje państwo. Taki rolnik nie jest i nie może być podporą kapitalizmu. W ustroju, w którym taki rolnik jest najliczniejszym typem — rolnictwo nie może być podporą kapitalizmu. W rolnictwie polskim z przed września 1939 mamy, ujmując społeczną stronę problemu, typowy objaw koncentracji produkcji w końcowych fazach kapitalizmu: wielką masę egzystencji proletariackich, nieliczną grupę wielkokapitalistycznych latyfundiów.

Poza rolnictwem pozostaje około 4 miliony samodzielnych (z rodzinami). Grupa liczna — pozornie znowu prywatna własność i przedsiębiorczość rozdrobniona. Ale znowu tylko pozornie. Na tę masę mamy tylko około 23.000 dużych przedsiębiorstw handlowych (I i II kategorii) tylko około 6.000 dużych przedsiębiorstw przemysłowych (I—V kategorii). Mamy natomiast około 430.000 drobnych, jednostkowych przedsiębiorstw handlowych, co przy przedwzrostowej polskiej strukturze handlu oznacza często jedną izbę, która służy równocześnie za mieszkanie i sklep. Czyli na około 4 miliony samodzielnych gospodarzo rolnictwem mamy (licząc 4 osoby na rodzinie) około 2 miliony drobnych, częściej o proletariackim poziomie egzystencji kupców z rodzinami. Struktura życia gospodarzo społecznego Polski poza rolnictwem wykazuje to samo co rolnictwo: niewielką ilość mocnych, wielkokapitalistycznych przedsiębiorstw, wielką masę

egzystencji pozornie i formalnie samodzielnych, faktycznie na proletariackim lub zbliżonym poziomie stopy życiowej.

W Polsce istniały więc podstawowe gospodarcze i społeczne warunki dla uspołecznienia podstawowych gałęzi życia gospodarczego. Istniała koncentracja wielkiego kapitału w rękach nielicznych — przytem w wysokim stopniu zagranicznych — właścicieli. Liczne masy formalnie samodzielnych przedsiębiorców miały warunki egzystencji tego rodzaju, że polityka uspołecznienia — o ile jej konsekwencją będzie podwyższenie a nie obniżenie stopy życiowej szerokich mas — nie może w nich mieć, na dłuższą metę, przeciwników.

2.

Trzy akty prawne — dekret o przeprowadzeniu reformy rolnej, ustawa o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, uchwała KRN o narodowym planie gospodarczym zalegalizowały dokonaną rewolucyjną przemianę ustroju społeczno-gospodarczego. Pierwsze dwa dały nową strukturę tego ustroju, trzeci określił jego funkcjonowanie i rolę jego rozwoju. One stanowią istotną, faktyczną konstytucję nowej Polski. Przewidywana ustawa konstytucyjna będzie miała za zadanie przekształcić ich zasady, zgodnie z wynikami referendum. W formalne normy konstytucyjne i stworzyć nadbudowę ustroju politycznego nad nimi.

Nowego ustroju nie można określić jako „socialistyczny”, nie można go określić również jako „kapitalistyczny”. Terminem stosowanym do niego jest „demokracja ludowa”, określenie zresztą w Polsce nie nowe (twórcami jego byli — o ile się nie myli — Irena Kosmowska i Juliusz Poniałowski w czasie dyskusji konstytucyjnej 1919 r.). Na czym polega jego istota, na czym polega przemiana?

1) Na odcinku rolnym znikł typ gospodarstwa wielokapitalistycznego. Równocześnie przestał być panującym typem rolnictwa gospodarstwa chłopięcego (poniżej 3 ha). Przeciętna wielkość gospodarstwa chłopięcego wynosi dziś 7 ha, po wykonaniu trzyletniego planu gospodarczego ma dość do 8 ha. Wielkie rolne gospodarstwo państwowe ma być wyjątkiem, typem panującym ma być gospodarstwo chłopięce.

Na odcinku rolnym nastąpiło nie uspołecznienie własności, lecz zjawisko określane jako „upowszechnienie” czy „demokratyzacja” własności prywatnej. Tu mamy największy, najdalej idący kompromis ze strony stronictw robotniczych. Przyjęły one i zrealizowały program chłopięcy. Przyjęły go mimo, że jeszcze w r. 1926 ostrzegł przed tym tak umiarkowany marksista jak Mieczysław Niedziałkowski, pisząc „zrealizowanie programów agrarnych stronictw ludowych z tendencją ku powszechnej parcelacji ziemi doprowadziłoby do uwstecznienia całego życia gospodarczego a co za tym idzie i kulturalnego” i wzywał do rewizji dotychczasowego stanowiska socjalizmu polskiego w tej kwestii stworzenia własnego programu agrarnego. Przeważały tu względy polityczne, liczenie się z rzeczywistością polityczną. Że to ustępstwo na rzecz stronictw chłopięcych jest trwałe — świadczy treść planu gospodarczego. Że myśli się o jego skutkach gospodarczych — świadczy rozmach w rozbudowie rolnego aparatu spółdzielczego.

2) Na odcinku wielkiego przemysłu, przemysłu o znaczeniu podstawowym, przedsiębiorstw, które przybierają charakter faktycznie monopoliczny, mamy do czynienia z przejęciem na własność państwa. Sektor ten, to w r. 1946 — 2.535.000 zatrudnionych w zestawieniu z 1.040.000 zatrudnionych w pozarolniczym sektorze prywatnym, w roku 1949 zaś to 3.294.000 w zestawieniu z 1.830.000 w pozarolniczym sektorze prywatnym (bez uwzględnienia kobiet zatrudnionych w gospodarstwie domowym). Sektor uspołeczniony to dziś niewiele ponad 2/3 całej gospodarki pozarolnej, w przyszłości nieco mniej.

3) Najelastyczniej ujęto zagadnienie aparatu bankowego. Tu wedle ustawy o nacjonalizacji, wystarcza dla uspołecznienia uchwała Rady Ministrów. Operowanie odcinkiem bankowym, zasadniczego znaczenia w obecnym okresie gospodarczym, zależy od swobodnego uznania rządu. Wycofanie kapitałów banków prywatnych wskutek inflacji okresu okupacji, przejęcie wszelkich banków niemieckich, uzależnienie od państwa obrotów z zagranicą czyni aparat bankowy faktycznie sektorem w ogromnej przewadze uspołecznionym, czyni go sprawnym narzędziem polityki państwa.

4) Sektor spółdzielczy jest najtrudniejszy do uchwycenia. Najważniejszy jego odcinek, „Społem”, to ma być w roku 1949 roczna wartość produkcji 56 milionów złotych z 1938, zatrudnionych 15.000 osób.

Otrzymujemy więc, w wyniku rewolucji lat 1944—46 i w wyniku wykonania planu trzyletniego pod względem społecznym ponad 8 milionów zatrudnionych w sektorze nieuspołecznionym (wobec jego zmniejszonej struktury — są to w większości samodzielni właściciele wystarczających gospodarzo warsztatów pracy) wobec niewiele ponad 3 miliony w sektorze uspołecznionym, a więc zdecydowaną przewagę grup ludności gospodarujących na zasadzie przedsiębiorczości prywatnej i w utrzymaniu własności prywatnej zainteresowanych. Otrzymujemy równocześnie pod względem gospodarczym decydującą rolę sektora uspołecznionego w bankowości, w górnictwie, w ciężkim, podstawowym i większym przemyśle. A więc kraj w swej strukturze ludnościowej przeważnie prokapitalistyczny, w swej strukturze gospodarczej w decydujących tej odcinkach kierowany przez państwo. Otrzymujemy w końcu funkcjonalnie, wobec wprowadzenia gospodarki planowej, mniej lub więcej jednolite kierownictwo przez państwo wszystkimi sektorami.

5.

Kierownictwo przez państwo — to kierownictwo przez decydujący organ ustrojowy, w ustroju demokratycznym kierownictwo przez każdorazową większość parlamentarną. Ten fakt nadaje zupełnie inny sens uspołecznieniu w ustroju socjalistycznym a uspołecznieniu w ustroju każdej innej demokracji, zachowującej odcinki oparte na ustroju kapitalistycznym. Effenne Fajon podkreślił to słusznie w „Cahiers du communisme”. Nacjonalizacja może, ale nie musi, być w tym ustroju zarządzeniem o charakterze socjalistycznym. Jeśli w decydującym politycznie organie ustrojowym ugrupowania socjalistyczne są słabe a ugrupowania mieszczańskie i drobnomieszczańskie w ostrym konflikcie z ugrupowaniami socjalistycznymi mają przewagę — nacjonalizacja może się okazać niesłycha-

... USTRZEC DEMOKRACJĘ PRZED ZALEWEM MIERNOSCI I APATII...

Jerzy Cogniot

### TREŚĆ NUMERU:

KONSTANTY GRZYBOWSKI — WYBORY A STRUKTURA SPOŁECZNO-GOSPODARCZA

MIECZYSLAW JASTRUN — CZARNE KWIATY ADOLFA RUDNICKIEGO

APOLONIUSZ ZAWILSKI — PRZYCZYNY KLĘSKI WRZEŚNIOWEJ (III)

JAN SPIEWAK —

ZYGMUNT SZYMAŃSKI — TRZY SZANSE

MARIA JAROCZOWSKA — OD POCZĄTKU

TADEUSZ BREZA — A JEŻELI NIE POWIEŚĆ, TO COI

ZYGMUNT PIORO — HUMANIZM POLITYCZNY

JOZEF KOWALCZYK — KILKA UWAG NA TEMATY WYDAWNICZE

HENRYK ULASZYN — JEST ZŁE ALE MOGŁO BYĆ GORZEJ

STEFAN OTWINOWSKI — W KRAKOWIE

KANDYD — TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK

PRZEGLĄD PRASY NOTY

RYSUNKI: BERNACIŃSKIEGO, KANSKIEJ, PIOTROWSKIEGO

Mocarstwa Zachodnie proponują odbudowę przemysłu niemieckiego



rys. M. Piotrowski

„Okopy Świętej Trójcy”

### TREŚĆ Nr 43

Stefan Żółkiewski — O sytuacji literatury i pisarza. Kazimierz Sokolowski — Gospodarka zniszczenia. Mieczysław Jastrun — Borys Pasternak. Borys Pasternak — Wiersze. Wanda Żółkiewska — Reinhard i Anna. Teofil Wojewski — Geneza poglądu na świat naszej inteligencji. Kandyd — Tak toczy się świątek. Bolesław Dudziński — Dwie ordynacje. Jan Szczepański — Książka socjalisty. Edward Csató — „Antygona” w Katowicach. Ewa Korzeniowska — Powieść według recepty. Przemysław Smolik — Wystawa grafiki, rysunków i akwarel artyst. Zw. Radzieckiego. W. L. Brudziński — W obronie satyry. ph. — Przegląd prasy. Noty.

nym wzmocnieniem państwa burżuazyjnego, oddając mu decydujące kierownictwo nad najważniejszymi działami produkcji, uzależniając od niego w niesłychanie daleko posunięty sposób masę robotniczą.

To zagadnienie wydaje się zasadniczym w okresie przedwyborczym w Polsce. A zagadnienie to — to odpowiedź na pytanie: jak się przedstawiają podmiotowe warunki społeczeństwa w Polsce. Podmiotowe warunki, a więc zdolności klasy robotniczej do objęcia kierownictwa sektorem uspołecznionym, tak jak chłop kieruje sektorem rolnym a drobnomieszczański sektorem prywatnym — to pierwsze. I jak się przedstawia akceptacja dokonanej zmiany ustroju w społeczeństwie — to drugie.

1) Stronnictwa idące zdecydowanie po linii uspołecznienia (PPS, Komuniści, Lewica Ludowa) zdobyły w wyborach do Sejmu 1919 łącznie około 840.000 głosów, w wyborach 1922 około 2.500.000 głosów, w wyborach 1928 około 3 miliony głosów.

Stronnictwa zdecydowanie prokapitalistyczne (Stronnictwo Narodowe i jego mniej lub więcej wyraźne agentury, BBWR) zdobyły w wyborach 1919 około milion głosów, w wyborach 1922 około 2.500.000 głosów, w wyborach 1928 około 3 miliony głosów. Stronnictwa zajmujące w sprawie uspołecznienia stanowisko zmienne i chwilne (przede wszystkim PSL Piast) zdobyły w wyborach 1919 około 800.000 głosów, w roku 1922 około 1.200.000 głosów, w wyborach 1928 około 700.000 głosów. W Polsce międzywojennej skrzydło radykalne socjalnie było zawsze mniej więcej równe w siłach skrzydła zdecydowanie prokapitalistycznemu. Politycznym językiem u wagi było zawsze, w tej kwestii niezdecydowane Centrum, zwłaszcza prawica chłopska. Teza więc, iż brak było warunków podmiotowych dla nowego ustroju gospodarczo - społecznego byłaby fałszywa. Nawet w warunkach tylko czysto formalnej wolności politycznej w Polsce, nawet w okresie nieograniczonego kapitalizmu i wszystkich wpływów tego faktu na faktyczną wolność polityczną szerokich mas, nawet przy rzucaniu wpływu aparatu kościelnego przeciw przebudowie społecznej — żądanie jej było równie silne, jak żądanie utrzymania kapitalizmu. Rewolucja lat 1944—46 była realizacją woli ogromnego odcinka społeczeństwa, miała silne oparcie w masach, była, z konstytucyjnego punktu widzenia wykonaniem zapowiedzi art. 99 Konstytucji marcowej.

Natomiast — rewolucja ta bez poparcia umiarkowanych grup chłopskich i nie skrajnie - prokapitalistycznych grup drobnomieszczańskich — nie miałaby przed wrześniem 1939 formalnej większości za sobą. Względna stałość polityczno-społecznego układu sił w Polsce 1918—1928 (po tem nie mamy sprawdzianu względnie wolnych wyborów) pozwala na przypuszczenie, że układ ten nie uległ zasadniczym zmianom. Zasadniczym pytaniem jest więc: czy umiarkowane grupy chłopskie (a więc PSL) i umiarkowane grupy drobnomieszczańskie (a więc Stronnictwo Pracy) uważają się nadal za związane „kompromisem lubelskim”, którego istotą jest: gospodarowany społecznie, a więc przez klasę robotniczą, sektor wielkoprzemysłowy, gospodarowany indywidualnie sektor chłopski, gospodarowany indywidualnie sektor drobnoprzemysłowy i drobnohandlowy. Kompromis ten, istota obecnego ustroju stanowi jednolitą całość, naruszenie każdego jego odcinka wprowadzić nas musi znowu w stan rewolucyjny — a na to nas nie stać.

2) Szereg objawów każe mieć wątpliwość, czy wszyscy chcą ten kompromis zachować. Wątpliwość tę wzbudza przede wszystkim zarówno przeszłość chłopskiej grupy centrowej (PSL Piast) jak i przeszłość dotychczasowych centrowych grup drobnomieszczańskich (zwłaszcza Chadejci). PSL Piast przeciwstawiło się w roku 1918 rządowi lubelskiemu Daszyńskiego, uniemożliwiło utworzenie w Warszawie, w tymże listopadzie 1918, rządu Daszyńskiego, nie poparło rządu Moraczewskiego, poparło natomiast rząd Paderewskiego; nie chciało, u zarania drugiej niepodległości bloku robotniczo - chłopsko - drobnomieszczańskiemu, wołało fikcję „rządu ogólnonarodowego” co w ówczesnej sytuacji oznaczało usunięcie na plan drugi zarówno przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego jak i wpływów stronnictw robotniczych, co w konsekwencji oznaczało program inkorporacji części ziem białoruskich i ukra-

ińskich w państwo polskie, program jeszcze bardziej anachroniczny i antyradykalny niż program federacyjny. Tej linii był „Piast” przez cały okres pierwszej niepodległości wierny. Zawsze gotów był do współzrądzów z nacjonalistyczno-prokapitalistyczną prawicą, choćby za cenę odchodzenia konsekwentnych ludowców ze swego stronnictwa, choćby za cenę daleko posuniętych kompromisów w sprawie reformy rolnej. Nigdy nie rozumiał ściśle współzależności reformy rolnej na odcinku wiejskim i uspołecznienia na odcinku miejskim i nigdy nie uczynił dla poparcia stronnictw robotniczych w tej kwestii. Zawsze uważał, że w stosunku do warstwy robotniczej najlepszą metodą rządów są rządy policyjne — ujawnili to jego ministrowie spraw wewnętrznych choćby w jesieni 1923, ujawnił to jego największy przywódca, żądając bezpośrednio przed majem 1926, by kierownictwo komisji wyborczych odebrało sędziom a oddać władzom administracyjnym — a pamiętać trzeba, że administracja była wtedy opanowana bądź przez ludzi z „Piasta”, bądź przez ludzi ze „Stronnictwa Narodowego”. Polityka ludowa najtrudniej i najuczciwiej patrzący na polskie stosunki Stanisław Thugutt, już w r. 1924 określał przywódcę tego odłamu ludowców, poprzedników dzisiejszego PSL, jako polityka o „mocnym zabarwieniu nacjonalistycznym”, bezpośrednio przed majem 1926 pisał o Wincentym Witosie jako jednym z „istotnych kierowników prawicy” w Polsce. Przeszłość tej grupy centrowej nie może budzić zaufania na lewicy w Polsce.

A jej teraźniejszość? Jeśli się nawet uważa infiltrację wyrotowo-prawicowych elementów do PSL za niezamierzoną przez kierowników tego stronnictwa, za zwalczaną przez nich — to trudno się oprzeć refleksji, że kierownicy ci w takim wypadku co najmniej nie zdali egzaminu „na przywódców, okazując, że nie panują nad własnym aparatem partyjnym. Jeśli się nawet nie uważa ich odmowy wejścia do bloku wyborczego za dowód chęci walki z obecnym ustrojem — to trudno nie patrzeć z głęboką obawą na motywy nie wejścia do bloku. Jeśli ktoś bowiem żąda dla siebie 75 proc. mandatów, to jest to niepokojące już w demokracji formalnej, liberalnej, kapitalistycznej, a w demokracji ludowej jest to już niebezpieczeństwem groźnym. Jeśli ktoś bowiem chce mieć 75 proc. mandatów w państwie, w którym kilka milionów ludzi pracuje w sektorze uspołecznionym — znaczy to, iż ten ktoś chce być bezwzględny dyktatorem sektora uspołecznionego, chce rządzić tym sektorem niezależnie od woli klasy robotniczej i choćby wbrew woli klasy robotniczej: czyli — chce chłopskiej dyktatury klasowej wobec klasy robotniczej.

Zdawać się mogło przez jakiś czas, że drobnomieszczański odcinek polskiego życia politycznego, Stronnictwo Pracy, w wyższym stopniu zrozumiało podstawowe założenia obecnego ustroju państwa. Było to tym dziwniejsze, że przecież jego główny poprzednik w okresie przedwrześniowym, Chrześcijańska Demokracja, był, wskutek zupełnego braku samodzielnej linii politycznej, tylko inną firmą „Stronnictwa Narodowego” pod którą łatwiej było trafić do pewnych sfer społeczeństwa. Toteż rzekoma dojrzałość tego odcinka okazała się rychło złudzeniem. Głęboka wewnętrzna ryśa w Stronnictwie Pracy doprowadziła do pęknięcia. Episkopat polski zajął wobec pęknięcia także samo stanowisko, jakie zajął wobec Bobrzyńskiego w 1913 roku, gdy ten chciał doprowadzić do porozumienia polsko-ukraińskiego, do kompromisu z częścią ludowców, także samo stanowisko, jakie zajmował w okresie II-giej niepodległości wobec rządów Daszyńskiego i Moraczewskiego, także samo stanowisko jakie zajmował wobec reformy rolnej w tym okresie, także samo stanowisko, jakie zajmował w okresie pomajowym wobec wszelkich, jakie nieśmiały prób laickiej polityki szkolnej czy kulturalnej. Wszelki kompromis na lewo jest od dziesiątek lat dla Episkopatu polskiego złem potępienia godnym — nawet gdy brak tego kompromisu może grozić wojną domową.

3) Mamy więc sytuację jasną. Z jednej strony obóz reformy. Obóz ten zrealizował program przebudowy społecznej i gospodarczej, ten program, za którym w okresie drugiej niepodległości wypowiedała się ogromna większość klasy robotniczej, znaczna większość klasy chłopskiej. Z drugiej strony obóz wrogów reformy. Nie ma on dzisiaj legalnego odpowiednika politycznego,

ale trudno się ludzi by te dwa do trzech milionów wyborców, które przed wrześniem głosowały karnie na stronnictwa prokapitalistyczne, zamienić się dziś w gorących wyznawców nowej demokracji. Codzienne życie polskich lasów i polskich dróg dostarcza wprost przeciwnych dowodów. Obóz demokracji jest dziś z pewnością silniejszy niż w przeszłości — wyniki referendum są tego najlepszym dowodem — ale przeciwnik jest, istnieje, jest przy tym bardziej zdeterminowany niż kiedykolwiek. W środku zaś grupy, które pozornie nie chcą cofnięcia tego co się stało, w czynach swych temu przeczą, przeszłością swą nie wzbudzają zaufania do ich dzisiejszych deklaracji. I wielka niewiadoma: ilu ze zwolenników tych grup centrowych zajmuje stanowisko sceptyczne czy to wobec swego kierownictwa (jak w PSL) czy to wobec tych, którzy woleli rozbić Stronnictwo Pracy, niż zgodzić się na jego włączenie do zespołu budujących Polskę na nowych zasadach?

4.

Porzuciliśmy od dawna formalistyczny mit rzekomo „liberalnych” faktycznie „neutralnych” demokracji, jakoby każda treść kartki wyborczej była świętością którą należy szanować i dać jej posłuch — nawet gdy ta treść zmierza do likwidacji demokracji. Już przed drugą wojną światową kraje zagrożone przez próby likwidacji demokracji przy pomocy jej własnych metod — Szwajcaria, Czechosłowacja — stanęły na stanowisku, że można takich wrogów demokracji pozbawić prawa wpływania na losy państwa. Inaczej mówiąc stanęły na stanowisku, że zasadnicze podstawy ustroju stoją ponad wolą każdorazowych wyborców, że ten, kto chce je, choćby przy pomocy metod formalnie legalnych usunąć, nie może być wybranym czy nawet wyborcą.

To samo zadanie stanęło przed odradzającymi się po drugiej wojnie światowej demokracjami Europy. Francja, Belgia, Jugosławia, Czechosłowacja, Węgry, miały tu łatwiejszą sytuację: ich wrogowie demokracji ujawnili się i przed wrześniem 1939 roku i w okresie drugiej wojny światowej. Wszędzie w tych krajach istniały legalne grupy polityczne współpracujące politycznie z okupantem, likwidujące politycznie i społecznie demokrację. Tu można było ustalić kryterium łatwo uchwytnie i obiektywne, uderzyć w członków tych grup. Inaczej w Polsce. Nie mieliśmy legalnych grup kollaboracyjnych, nasz faszyzm nie doszedł do tego stopnia rozwoju i zdemaskowania się do którego doszły faszyzmy innych krajów. Ale to nie znaczy, że nie istnieje i to nie znaczy, że faszyzma nie ma prawa wpływania na losy państwa w tamtych krajach a powinien je mieć w Polsce. I dlatego art. 2 ust. 2 ordynacji wyborczej był potrzebny — a nie mógł być inny. Jest legalny. Z wewnętrznego punktu widzenia demokracja ma prawo się bronić. Z prawnego - międzynarodowego punktu widzenia wykluczenie, zgodnie z deklaracją jaltańską, grup antydemokratycznych i profaszystowskich byłoby czystą fikcją, gdyby się przyznało zwolennikom tych grup prawo głosu, a więc możliwość sprzedawania swych głosów mniej odpornym na tę pokusę ugrupowaniom nie antydemokratycznym — bo przecież nic za darmo, a przeciwnicy demokracji nie będą żądać za swe głosy u mocnienia demokracji. Z pewnością — ujęcie tego przepisu pozostawia tak szeroki zakres swobody stosującym go komisjom wyborczym, że wymaga wysokiego wyrobienia obywatelskiego od ich członków. Ale nie można odrzucić jakiegos przepisu tylko dlatego, że może on umożliwić nadużycia, zwłaszcza wtedy gdy nie ma innej możliwości ujęcia tego przepisu a jest on konieczny. Współdziałanie z nielegalnymi próbami obalenia ustroju może przybierać postać nie dającą podstawy do dyskwalifikacji karnej, dającą podstawę do dyskwalifikacji politycznej. I lepiej w wypadkach tego rodzaju dyskwalifikować politycznie, niż obstrzajać normy karne i zapełniać więzienia.

Ordynacja wyborcza broni więc podstawowych zasad ustroju demokratycznego, odbiera możliwość wpływu politycznego tym, którzy chcą go obalić. Ale co to są te zasady? Wiek XVIII nie miał co do tego wątpliwości. Znał „wieczne, niezmiennie, naturalne” prawa człowieka. My jesteśmy bardziej sceptyczni. Wiemy, że samo deklarowanie tych praw nie jest jeszcze ich zrealizowaniem i zabezpieczeniem, wiemy, że szczegółowa treść tych praw jest funkcją każdorazowego ustroju społecznego i gospo-

darczego. Widzimy podstawy w tym ustroju. Dlatego — w demokracji ludowej — prawa istniejących w niej klas społecznych wydarają się bardziej podstawowymi zasadami.

Podkreślałem już — polska demokracja społeczna jest kompromisem między trzema klasami społecznymi. Nie można w niej rzadzić wbrew klasie robotniczej i wykorzystywać chwilową ewentualną większość dla likwidacji sektora uspołecznionego lub wyzyskiwanego dokonanego uspołecznienia wbrew interesom klasy robotniczej. Nie można także rządzić w niej wbrew klasie chłopskiej i wykorzystywać ewentualnej chwilowej większości dla likwidacji indywidualnej gospodarki chłopskiej. Nie można w końcu wyzyskiwać chwilowej większości dla likwidacji drobnomieszczańskości odcinka gospodarki indywidualnej. Państwo demokracji ludowej jest — powiedziałaby Harold Laski — z tego punktu widzenia państwem „pluralistycznym”. Akceptacja tego ustroju jest ważną tak długo, jak długo żadna z klas nie usiłuje kompromisu zburzyć, poddać swej dyktaturze inną klasę. Z chwilą gdy się takie usiłowanie pojawia kompromis się kończy. Demokracja to nie tylko zasada większości — to także zasada, że nieraz chwilowe, 55 proc. ludności nie może poddawać swej dyktaturze pozostałych 45 proc.

Propozycje bloku wyborczego zmierzały do stabilizacji tego kompromisu, szkielet przysły układ sił w sejmie w sposób wykluczający przewagę którejkolwiek klasy społecznej. Uchwała IRN o planie gospodarczym jest dalszym dowodem, że i w rozbudowie gospodarki planowej nie myśli się o czymś podobnym, że wszystkie trzy sektory mają się rozwijać równomiernie. Odrzucenie propozycji bloku musiało wywołać wrażenie, że albo jego przeciwnicy nie chcą zrozumieć, co jest w nowym ustroju istotne, albo nie chcą w przyszłości szanować kompromisu.

5.

Demokracja polska wchodzi w okres wyborczy w momencie szczególnie trudnym. Łatwo w tym okresie czynić ją odpowiedzialną za to, co jest skutkiem wojny, tak jakby to było skutkiem przebudowy ustroju. Rzemieślnik, drobny przemysłowiec, kupiec powoła dopiero zapanować, że zależność gospodarcza od planu państwowego jest czymś bez porównania mniej krępującym, niż zależność od dostarczającego surowiec kartelu, od dostarczającego towar wielkiego hurtownika. Jakże wielu opiekunów chłopów, zaopatrzonych w przedwojenne i obecne „nożyce” cen artykułów rolnych i przemysłowych i wyzyskujących je w swej działalności politycznej, zataja, że są one mniejsze niż przed wrześniem, zapoznaje, że dla oceny przemian w stosunku zamożności wsi i miasta istotne są nie nożyce cen, ale porównanie tego co dziś i przed wojną dostawał i dostaje chłop i robotnik za swą pracę, fakt, że udział chłopów w dochodzie społecznym, zmniejszonym wszak do 45 proc. przedwojennego, spadł mniej, niż udział robotnika. I także trudno nieraz zrozumieć robotnikowi, że udział jego w dochodzie ze zdewastowanych fabryk, choć uspołecznionych musi być mniejszy niż nawet jego przedwojenny udział w dochodzie z fabryk prywatnych. Jak łatwo, na zewnątrz, czynić demokrację odpowiedzialną za to, że Adolf Hitler prowadził przez pięć lat wojnę kosztem także polskiej substancji majątkowej. Jakże łatwo, na zewnątrz, odmawiać tej demokracji kredytów i tłumaczyć potem wyborcom, że to rządzący temu winni. I także łatwo fakt, że wolność osobista po wojnie nie może być nigdy tak szeroką jak w okresie długiego pokoju tłumaczyć jako zamiar stałego ograniczania czy likwidacji wolności osobistej, zwłaszcza gdy młode władze bezpieczeństwa nie zawsze ją ograniczają w sposób inteligentny i ograniczony do konieczności.

Dlatego — okres wyborczy wymaga tym bezwzględniejszego odróżnienia rzeczy istotnych od rzeczy mniej istotnych. Tym ostrzejszej obrony zasad, choćby się nie aprobowało szczegółów. Tym ostrzejszego odróżnienia pozorów i frazesów od faktów i istotnych intencji. Tym wyraźniejszego podkreślenia konsekwencji istotnych i trwałych takiego a nie innego wyniku wyborów a wyzwolenia się z fetyszu „układu sił politycznych” w oderwaniu od układu sił społecznych. I może lepiej, że postawi on jasno wszystkich przed decyzją: za lub przeciw, przed koniecznością uświadomienia sobie skutków decyzji.

Konstanty Grzybowski

MIECZYŚLAW JASTRUN

## CZARNE KWIATY ADOLFA RUDNICKIEGO

Nie bierz mi za złe, że zacznę te uwagi, spisane nieco niedbale, tak, jak nasuwały mi się podczas lektury twoich niedawno wydanych utworów do osobistego wspomnienia z Warszawy okupowanej. W tych latach, jeszcze bliskich a już niewiarygodnych, rozmawialiśmy często o sprawach, które nas pochłaniały całkowicie, o sprawach potocznych, co wtenczas wszystkie miały smak śmierci i cierpienia. Mówiliśmy o męczęństwie i zgonach naszych przyjaciół, o bliskich, którzy zapadali się nagle pod ziemię, niepożegnani nawet iza jedną. Mówiliśmy o kłamstwie literatury, o fałszu mowy ozdobnej, z której szczyła coraz okrutniej każda posuwająca nas — nie wiadomo, ku życiu, czy ku śmierci? godzina.

Wiem, że pisałeś wtenczas, czy raczej robiłeś notatki, gromadziłeś ów bezcenny dla pisarza surowiec, którego nie podobna zastąpić pamięcią. Nigdy nie przeczytałeś ani jednego zdania. Rozumiałem cię dobrze. Rozmawialiśmy, nie bez wzruszenia przypominam, rozmawialiśmy, jak ludzie, zdający sobie sprawę ze swego śmiertelnego zagrożenia, lecz zachowujący, mimo to, spokój i jasność myśli. Nie z tych rozmów nie powtórzę, nie potrafię powtórzyć. Słowa są jak napój drogocenny, ale pragnienie zadośćuczynienia moralnego i prawdy bezwzględnej nie może być tym napojem ugazzone.

Mówiliśmy raz — było to bodaj wiosną 1943 roku — o piękności duchowej kobiet warszawskich, o ich odwadze i bezgranicznym poświęceniu.

\* \* \*

Przywołałem na nowo tę rozmowę, kiedy przeczytałem opowiadania i Dzienniki Rudnickiego, które nazywam jego „Czarnymi kwiatami“, zważyłem jak wielką rolę wyznacza kobiecie w pojęciach swych o piękności moralnej. Kiedy w „Czystym nurcie“ Abel opuszcza ojczyznę, łamany bólem miłosnym i dołąca, pojedną go z losem własnym i z krajem, z którego wyjeżdża na zawsze, widok zatopionej w modlitwie kobiety:

„Szeroko otwartymi pogodzonymi oczami patrzyła w niewidzialne twarze swoich zmarłych. Abel przystanął obok. I w głębokim skupieniu złączywszy się wewnątrz ze starą, obcą kobietą, której poczuł się jak syn bliski — pożegnał miasto, kraj i resztę nadziei przed daleką podróżą, w którą nie zabierał nic ponad to swoje udreżone ludzkie ciało“.

Gdyby krytyka nasza była dość czujna, zauważyłaby, że jest to jedna z najpiękniejszych, malomównych, a jakże przejmujących scen powieści polskiej.

W tej samej noweli, pełnej tak wymownych niedomówień, naturalności języka, dyskrecji i męskości i czuć, piękność dziewczyny opisana jest w sposób uderzający.

„Była ciemna, duża i harmonijna, o twarzy pozbawionej ostrości, jak twarze madonn, których kobiecość jest zarazem jak gdyby jej zaprzeczeniem, do tego stopnia nie zahacza. Zamknięta w rytm luków twarz ta wibrowała światłem i barwą jak wnętrze kościoła. Przypadkowe tło zetknięte z profilem Amelii — tynk ściany, skrawek nieba — stawał się arabską cudną samą w sobie, jak sztuka abstrakcjonistów... Nie przypominała lecz wyzwała starą jak świat tęsknotę za pięknem — tkwiącą w każdym z nas“.

Piękno prozy Rudnickiego tkwi w jej poddaniu się tylko prawdzie doświadczenia, w nieuleknionym spojrzeniu w oczy rzeczywistym prawom życia, w nieosłodzonej, nie schlebającej nikomu surowości oceny moralnej. Stąd waga każdego słowa, nieokrzeseń zdań, które polerują stylizatorzy, ów przysło-



Adolf Rudnicki

wiowy brak „taktu“ urodzonego pisarza.

Rudnicki umiał wyzwolić się z nadmiernego psychologizowania, które w powieściach ostatniego okresu literatury dowojennej wykrzywiało z niebyłąką finezją obraz świata i człowieka.

Ludzie Rudnickiego mówią niewiele, ich „przeżycia“ nie cierpią na chorobę otłuszczenia. Czują tyle, ile naprawdę czują ludzie. Zdumiewająco trafna analiza myśli i uczuć podana jest tu z taką naturalną prostotą, że przyjmujemy ją jako coś samo przez się zrozumiałego. W tym jest jedno ze zwycięstw tej prozy. Przypomnijmy tylko, „On sam nie był młodziekiem — oto jest tok myśli Abła w „Czystym nurcie“ — dobiegał czterdziestki, a biada ludziom, którzy w czterdziestym roku muszą rozpocząć życie uczuciowe na nowo, muszą szukać. Osobie poznanej dzisiaj cóż mógł dać z siebie!“.

Albo jakżeż wielkie doświadczenia mogły podyktować pisarzowi to skromne zdanie: „Nigdy człowiek nie wątpi o tym, co może mu sprawić ból“.

Ludzie Rudnickiego mówią nie wiele, ale mówią tak, że niepodobna ich słów zapomnieć. Do niebywałej kondensacji, graniczącej z najprawdziwszą poezją, dochodzi Rudnicki w swoich „Dziennikach“. Opis pożaru ghetta — nie opis, krótkie notatki, lecz jak wstrząsające! Rozmowa autora z kobietą, która uszła z piekła, należy do najbardziej wzruszających, po prostu po ludzku, dialogów, jakie czytałem („Wielkanoc“ — Kuznica Nr. 1). Proza Rudnickiego w „Dziennikach“ smie wzdłuż tej wąskiej granicy, która dzieli na pozór niezgodne światy — życia i sztuki. Aby te światy sprząć i powiązać razem, skupia się cały wysiłek artysty w wąskim odcinku, wysiłek, który podobny jest do napięcia towarzyszącego momentom walki moralnej. Walka toczy się tutaj nie o jednostkę tylko, o sens etyczny świata: „...my tu na miejsen widzieliśmy, jak drobna, jak nikła, nierozdrobiona rzeczka jest su-

mienie. Detonacje wstrząsały ziemią, ulicami, ale nie ludźmi.“ („Wielkanoc“).

Dramat Rudnickiego — artysty, zawiązuje się w tych ciężkich i trudnych doświadczeniach. W różnych wariacjach powtarza się ta sprawa w „Dziennikach“ i w opowiadaniach Rudnickiego. Opowiadanie „Szekspir“ to nie tylko dramat niudanego wysiłku i pogrzebanych ambicji literackich, to także dramat moralności pisarza. Cena, którą płaci artysta za swoją sztukę jest nieproporcjonalnie wielka, wapno, którym spaja swoje cegły nie jest wolne od śladów krwi. Niepostrzeżenie dramat artysty przechodzi w dramat historii: „Pisać — to znaczy spojrzeć wstecz, to znaczy zatrzymać się. Ale jak zatrzymać historię, do której czujemy się przymuszeni, a która nie oglądając się na już nieczulą wrażliwość, kulminuje codziennie na każdym rogu... ulic“ („Wielkanoc“). „W tych dniach najcięższej klęski narodowej i osobistej — mówi Rudnicki w utworze p.t. „Piękna sztuka pisanania“ — człowiek jasno pojmował sens sumienia, sumienia pisarza. Istnieje stara legenda, wedle której grzechy każdego pokolenia są tak wielkie, że Bóg raz po raz chce skończyć ze światem. Powstrzymują go od tego sprawiedliwi, którzy na pokolenie przypada dwóch, trzech... Proroków już dawno nie ma. Ale, proszę, proszę was, wskażcie mi pisarza, w którym legenda ta nie budzi tajemnej, drżącej, szalonej, radosnej nadziei!“.

Rudnicki, jak każdy prawdziwy artysta, chce wypowiedzieć świat do dna. Wady dzieła są dla niego wadami charakteru. Niepodobniestwo pełnego wyrażenia nie ludzkiej tragedii lat wojny i okupacji urasta w jego sumieniu do groźnego wyrzutu, do poczucia winy wobec ludzkości. To nie dramat hrabiego Henryka, który szuka poetyczności nie umiając się zdobyć na poezję. To dramat buntownika, który chce chwycić za broń i nagle czuje, że ma odciec ręce. Tym się tłumaczy, że powojen-

na twórczość Rudnickiego przedstawia się jak pobojuwisko gruzów, lecz gruzów wypalonych w pożarze serca.

Powiedziałem już, że proza Rudnickiego graniczy w swych najbardziej napiętych fragmentach z poezją i to nie byle jaką poezją.

Wrażenie to łatwo sprawdzić, przeczytawszy głośno ten czy ów ustęp. Kondensacja i zwięzłość, unikanie wszelkich dłużyzn i przewlekłego toku zdania, Rudnicki nie dba o kadencję swoich okresów, nie wyrównuje ich, nie wygładza. Są twarde, szorstkie, nieozdobne. Ale giętkość pojęć, wyrazistość obrazów, nagłość skrótów stwarza napięcie godne tragedii. W „Majorze Hubercie z armii Andersa“ klęska wrześniowa wyrażona jest w obrazie, który urasta do rozmiarów symbolu:

„...na chodniku, w błocie, u róg przechodzącego tłumy siedział polski żołnierz bez czapki, strugi deszczu spływały mu po ogorzałej, chudej twarzy, przebitej jasnymi oczami, pusta nogawka leżała przed nim — był bez nogi — nie człowiek, lecz strzęp ludzki porzucony na chodniku. Nie czułem się na siłach przejść obok“.

Ten obraz żołnierza — kaleki, zdawałoby się, byle jak sklecony z najprostszych, niedbale ułożonych słów, zostanie w literaturze polskiej. I, jakby nie dość było jeszcze tego wzruszającego opisu, Rudnicki dodaje: „Na każdym rogu stała Polska żebrząca. Na każdym rogu upadła, a jej synowie okryci zielonymi mundurami jak zhańbionymi sztandarami wyciągali ręce“.

Nie ma w tych opisach nic ze stylizacji, nie z kuchni literackiej. U żadnego bodaj ze współczesnych prozatorów polskich nie znajdziemy tak uderzającego przezwyjęcia szablonu. A równocześnie — dalekie są opisy Rudnickiego od reportażu, nawet tam gdzie pozornie charakter ten noszą. Mam na myśli prozę „Września“. Z zezwątłych rzecz biorąc — nie ponad fakty. Ale ułożone tak umiejętnie, tak trafnymi poparte spostrzeżeniami, tyle w zestawieniu ich wiedzy o człowieku, że wolne są całkowicie od pewnej powierzchowności i doróżnych uproszczeń tego gatunku.

Rudnicki, stale, także w przedwojennej swej twórczości wychodził od faktu, nie gardził miazgą życia, jego „brudną“ materią. Czy to w „Szczurach“, czy w „Lecie“ czy w „Żołnierzach“, wszędzie umiał przezwyjęć surowość materiału, nie usuwając go jednakże z pola widzenia, nie posługując się łatwym retuszem, lecz podnosząc jego wartość naturalną do wyżyn najprawdziwszego artysty.

Bohaterowie Rudnickiego są ludzie, dalecy od jakiegokolwiek szablonu. Autor kocha ich tą samą miłością, która ogrzewa nas podczas lektury Prusa, miłością, która nie przymyka oczu na okropności świata, ale rozumie i wybacz. Jednaką miłością otoczył pisarz starożytnego krawca żydowskiego Jakuba Kagana („Koi“) co i wspaniałego artystę majora Huberta. To, że przeciwnika politycznego obdarzył autorem sercem szlachetnym — i że, mimo to, potrafi czytelnikowi narzucić wiare swoją w słuszność sprawy Polski Ludowej, jest tryumfem jego sztuki pisarskiej.

Jak dużym artystą jest Rudnicki, świadczy chociażby drobiazg taki jak „Uśmiech żandarma“, pełen świetnego humoru i subtelnej ironii. Temat tak błahy, a ile z niego potrafiło wydobyć pióro poety!

Jest również dowodem siły prozy Rudnickiego fakt, że umie on narzucić przekonującą wizję świata na ogół nam obcego. Ludzie Rudnickiego, w dużej przewadze, pochodzą z egzotycznego niemal i obcego środowiska, z żydow-

skich miasteczek przedwojennej Polski. Mimo to jednak współczujemy z nimi, jak współczuliśmy z bardziej jeszcze egzotycznym światem „Meira Ezołowicza” Orzeszkowej. I nie to, że ślady owego środowiska widoczne są w niektórych wyobrażeniach, obrazach i metaforach prozy autora „Lata”. Rudnicki, jak każdy prawdziwy artysta, związany jest zbyt silnie z krajem lat dziecięcych, by mógł zapomnieć o świecie, który niegdyś był jego. Zasoby, z których czerpie artysta, leżą głębiej od kontrolującej świadomości. Jest to mroczna dziedzina, o której powiedział Mickiewicz: „Jest u mnie kraj, ojęzyczna myśl moja”. Ten egzotyczny świat, o którym tak wzruszająco mówi Rudnicki, był przecież związany z krajobrazem i ludem polskim. Starty został z powierzonej mu ziemi polskiej, spalony do ostatniej kości. Ostatnie świadectwo daje mu w swojej prozie Rudnicki.

Proza ta bije z bardzo czystego źródła. Wznosi się i opada gwałtownie, nie unika szczegółów drastycznych, by w którymś miejscu zakończyć kadencją o prawdziwej wzniosłości.

I gdyby chciał ktoś zakatalogować styl Rudnickiego, natrafiliby na niemałą trudność. Wydaje mi się, że owa trudność wynika stąd, iż autor szuka formuł dla spraw bardzo współczesnych, mało omawianych dotychczas, a tkwiących głęboko w życiu. Zastanawiając się nad jakąś formułą dla prozy Rudnickiego, pomyślałem o „Czarnych kwiatach” Norwida, o tej niedocenionej i nie rozumianej należycie prozie wielkiego poety. Na wstępie do „Czarnych kwiatach” pisze Norwid:

„...Można by ciekawie w tym względzie rzeczy tu zapisać, ale zaraz wstręt cofa pióro i przychodzi na myśl zapytanie, czy warto!... Przy pojęciach albo wierszach współczesnych o czytelnictwie i twórczości piśmienniej zatracone jest prawie uczucie, kiedy pisarz stara się uniknąć stylu, przez uszanowanie dla rzeczy opisywanej...”

Z tych właśnie względów, nie tylko dla żalobnej tematyki i pół pamiętnikarskiego tonu powojennej twórczości Rudnickiego, nazwałem jego Dzienniki i opowiadania „Czarnymi kwiatami”.

Mieczysław Jastrun.

#### ROBOTNICZY PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Ukazał się numer 5 o następującej treści:

Wobec XI sesji K. R. N.

K. Rusinek:

O kwestii mieszkaniowej w Polsce

W. Sokorski:

Nasze stanowisko wobec Planu Odbudowy Gospodarczej

J. Kofman:

Wyniki osiągnięte

A. Krygier:

Nowe podstawy polityki społecznej

Z. Gross:

Spółeczna kontrola produkcji

S. Kwiatkowski:

Dziesięciolecie deklaracji ruchu pracowniczego

M. Marek:

Uwagi o ustroju ruchu zawodowego

D. Kluszyńska:

Strajk górników przed 46 laty

Na froncie odbudowy

Polska na morzu

Nowe książki:

Rzecz o samorządzie integralnym

Książka dokument

Ruch Związkowy w Polsce

Prace kulturalno - oświatowe w związkach zawodowych

Polityka społeczna

Wzrosty pracownicze w I półroczu

Przebieg gospodarczy

Nowe wydawnictwa

Fakty i dokumenty

Narodowy Plan Gospodarczy Odbudowy Polski

Wskaźniki statystyczne

Cena zł. 15.—

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Al. Przyjaciół 9.

APOLONIUSZ ZAWILSKI

## Przyczyny klęski wrześniowej\*) (III)

Wychowanie polskie było oparte na humanizmie. Lecz polski humanizm nie oznaczał poszanowania dla człowieka, dla jego godności i pracy. Jego istota streszczała się w wygodnictwie myślowym, zatopieniu się w romantycznej przeszłości i kwietyzmie. Tej zasadniczej podstawie ideowej odpowiadała struktura szkolnictwa i zakres programów szkolnych. Jedno i drugie nie łączyło się w żadnym stosunku z życiem gospodarczym kraju, a tym bardziej nie odpowiadało dynamice państwa nowoczesnego, lecz było wyrazem złe pojętych potrzeb i dążeń społecznych obywateli. Teoretycznie całość młodzieży była objęta programem 7-klasowej szkoły powszechnej, lecz brak szkół i nauczycieli zamykał dla przytłaczającej większości młodzieży oświatę w ramach czterech klas szkoły powszechnej. W latach trzydziestych było jeszcze 10 proc. analfabetów nie licząc analfabetyzmu odziedziczonego po zaborcach oraz powrotnego. Istotne ogniwo wychowania i przygotowania do zadań życiowych stanowiły szkoły średnie. Gromadziły one około 300 tys. młodzieży obojga płci w wieku od 14 do 20 lat. Jednak właśnie tu zasada humanizmu święciła swoje triumfy, bowiem z całej tej liczby przeszło 200 tys. kształciło się w gimnazjach ogólnokształcących, przeciętnie 30 tys. w seminariach, a tylko 70 tys. otrzymywało przygotowanie do mniej lub więcej określonych zawodów. Z tej ostatniej liczby w szkołach technicznych i przemysłowych pobierało naukę tylko 27 tys. łącznie ze śmieszłą cyfrą 952 uczni przygotowujących się do rolnictwa.

Dla zadań obrony państwa nie jest obojętne przygotowanie młodzieży ze szkoły. Im lepiej jest ona obeznana z mechaniką, metalem i w ogóle pracą rąk, tym lepiej, prędzej i sprawniej potrafi obsłużyć maszyny przeznaczone do walki\*\*).

Tymczasem rekrut, którego otrzymywało wojsko polskie był przeważnie surówy technicznie, zacołany kulturalnie i gospodarczo. Podchorążówki otrzymywały element inteligencji o małej sile charakteru, z kompleksem uprzedzeń i oporami pacyfizmu. Wojsko nie mając dostatecznych środków, same wyposażone prymitywnie, nie potrafiło dość głęboko przeorać psychiki kontyngentu, który kształtował się pod negatywnym wpływem środowiska, obejmującego zresztą i samą organizację wojskową.

W ten sposób kształtował się typ dowódcy i żołnierza, typ oparty na prymitywie technicznej. Oficer rezerwy, z zasady urzędnik, nie był tym dowódcą, który by potrafił stwarzać jakieś stany materialne, wykorzystywać przypadkowe środki walki, gdyż z wychowania szkolnego był on odległy od fizycznego procesu pracy, a w wykonywanej pracy był administratorem, rzadko twórcą. Przy takim braku przygotowania fachowego nie można było marzyć o wykorzystaniu zdobytej na wrogu broni — przeciw niemu, tak jak on obrócił przeciw innym broni zdobytą na Austriakach i Czechach. To też gdy zdarzyło się, że pewna dywizja polska po udanej akcji nocnej, zakończonej rozbięciem dywizji pancerniej SS znalazła się w posiadaniu całego jej uzbrojenia wraz z czołgami i artylerią, nie powstała nawet myśl, aby ją wykorzystać do walki. Przeciwnie, z wielkim nakładem energii, zachodów i środków zniszczono ją na miejscu. Nie znaleźli się specjaliści-mechanicy, którzy by uruchomili czołgi i obsłużyli zdobyte działa.

Wychowanie polskie prócz nieprzydatności życiowej, cechował wielki snobizm. Snobizm ten zwracał wszystkie głowy w kierunku „elity”, a odwracał je od procesów, odbywających się w dołach społecznych. Płytki idealizm wykluczał przyznanie racji przesłankom rozumowym i przyodziewał się w nieskalane szaty miłości ojczyzny i przywiązania do religii, choć oba te nakazy nie wychodziły poza ramy frazeologii i powierzchownej obrzędowości.

Gruby egoizm stanowił zamaskowany frazeologią bogoojczyźnianą w wychowaniu spowodował skryształizowanie się urazu psychicznego na punkcie zagadnień społeczno-ekonomicznych, szczególnie jeśli w to-

ku rozważań wychodziła na jaw konieczność reform. W tym miejscu triumfy święcił negatywny stosunek do ZSRR. W pojęciu warstw mających głos wydawało się niemożliwością utrzymanie jakichkolwiek stosunków z tym krajem. Nawet to, że przy budowaniu nowej Rosji współpracowali amerykańscy i niemieccy inżynierowie, że zagranica czyniła pozytywne spostrzeżenia o metodach gospodarczych Związku Radzieckiego — nie było istotnym powodem do zmiany stosunku opartego na negacji. Podczas gdy największe potęgi finansowe świata, mimo unieważnienia przez rząd ZSRR wszystkich długów zaciągniętych przez rządy carskie, pośpieszyły z wydatną pomocą finansową, udzielając długoterminowych kredytów, podczas gdy mimo zasadniczych różnic ustrojowych prowadziły one ożywiony handel z ZSRR — polska opinia publiczna nawet nie wiedziała o tym. Wśród tych państw Niemcy wybiłali się na czoło jako główni dostawcy (34,2 proc.) przed Stanami Zjednoczonymi (20,8 proc.) i Anglią (6,6 proc.). Głównymi odbiorcami eksportu ZSRR znów byli: Anglia 32,8 proc., Niemcy — 15,9, Włochy — 4,9 proc.\*\*)

Odnosne cyfry dla Polski były: 2,8 proc. po stronie dostawy i 0,9 proc. po stronie importu.

Obok tego negatywnego stosunku do Rosji kształtował się pod wpływem polityki zagranicznej stosunek neutralny wobec Niemiec i hitlerizmu. Więcej nawet, idea wodzostwa zaczęła znajdować zwolenników wśród elementów faszystujących. I oto gdy przyszła godzina próby dzielowej, społeczeństwo polskie okazało się niezdolne do wyciągnięcia wniosków z otaczającej go rzeczywistości a gdy wojna zażądała zdania rachunku z wartości wychowawczych, społeczeństwo nie zdało egzaminu\*\*).

Możemy mieć na swoje usprawiedliwienie wiele momentów i analogicznych przykładów takiej samej dezorganizacji gdzie indziej, a więc we Francji i w Jugosławii, ale musimy pamiętać że odwieczny „Drang nach Osten” gotował nam zupełnie odmienny los niż tamtym narodom. My byliśmy poprzez dzieje całe tą najistotniejszą przeszkodą, która uniemożliwiła rozprężenie skrzydeł pruskiemu czarnemu orłowi, my staliśmy na drodze jego ekspansji na rozległe stopy Ukrainy i żyzny niż Nadwołża. Dlatego my byliśmy skazani przez Niemców na zagładę. Z tego faktu jednak nasze kierownictwo wychowawcze nie zdało sobie sprawy nie opancerzyło narodu moralnie przed agresją niemiecką oraz uniemożliwiło szukanie ratunku w sojuszu z ZSRR. Zapatrzone w romantyczny młot szabl i bagnetu porwało się samopas na największą potęgą militarną świata.

#### PRZYCZYNY POLITYCZNE

O ile wyluszczone przyczyny wewnętrzne ukształtowały charakter i przebieg wojny polsko-niemieckiej, nie wpływając jednak bezpośrednio na jej ostateczny wynik, o tyle błędy polityczne unicestwiły szanse rzeczywistego zatrzymania ofensywy niemieckiej.

Poprzednie rozważania opierały się na założeniach; jakie warunki musiałyby być spełnione, aby w walce sam na sam z Niemcami wygrać maksimum rozporządzalnych atutów. Obecnie za punkt wyjścia przyjmujemy zasadę: jakich połączeń zewnętrzno-politycznych trzeba było szukać aby w warunkach wrześniowej rzeczywistości pola walki nadać sens sprawie obrony.

Kształtowanie warunków rozwoju wewnętrznego wymaga wielu lat planowej pracy, wobec czego w roku wielkiej próby nie można było już wiele zmienić; natomiast kształtowanie polityki zewnętrznej państwa jest kwestią umów, które w zasadzie są w każdym położeniu możliwe, dopóki istnieją dwie suwerenne strony.

Polityka polska w dobie 20-letnia niepodległości opierała się na sojuszu z Francją,

lecz gdy ta umowa locarneńska w 1925 r. doszła do porozumienia z Niemcami, gwarantującymi status quo na Zachodzie, jasne że stan na wschodzie Niemiec mógł w pewnych warunkach podlegać rewizji. W tym położeniu rząd polski zawarł w 1934 r. pakt nieagresji z Niemcami; równocześnie obowiązywał już przedtem zawarty pakt z ZSRR. Formalnie wyglądało na to, że Polska pragnie zająć stanowisko np. neutralnej Szwajcarii, która zawsze wyciągała korzyści z rozgrywanej się wojny, nie uczestnicząc w niej. Jednak stosunki polsko-niemieckie zaczęły przybierać formę współpracy politycznej. Wraz z rosnącą potęgą III Rzeszy zaczęło się w polskich sferach rządowych rodzić przeświadczenie, że Niemcy są największą potęgą nie tylko w Europie, lecz i na świecie i że zatem należy w porozumieniu z nimi dążyć do powiększenia terytorialnego Polski, a szczególnie do uzyskania kolonii zamorskich.

Sancyjny rząd polski stanowią pełny odpowiednik polskiej megalomanii narodowej. Nie mógł on unormować stosunków z Czechosłowacją, nie potrafił dojść do porozumienia z Litwą. Jedynie z Rumunią został zawarty sojusz wojskowy.

Krocząc drogą snów o potęgę, rząd polski zdecydował się na groźbę represjami Litwie, która dopuściła się przekroczenia granicy, a na ostatek wziął udział w rozbiórce Czechosłowacji w r. 1938, gdy sprawa sudecka dojrzała do punktu kulminacyjnego. W ten sposób — zamiast w służonym przewidywaniu przyszłego konfliktu z Niemcami zaoferować Czechosłowacji w 1935 r. sojusz wojskowy, który dzięki wysokiemu potencjałowi uzbrojenia Czechosłowacji\*) podwajałby siły koalicji — rząd polski świadomie wziął udział w dobiec swego naturalnego sojusznika.

W tych warunkach, bezpośrednio po obchodzie pięćciolecia paktu o nieagresji, III Rzesza wysunęła pretensje do Wolnego Miasta Gdańska i żądania terytorialne w stosunku do Polski. Cała koncepcja wyładowania się ekspansji niemieckiej na koloniach zamorskich pękła. ekspansja ta poszła swoim historycznym szlakiem, t. j. wprost na Polskę.

Polska stanęła wobec perspektywy utraty suwerenności lub widma wojny. Lecz patrząc po jakiej linii rozumowania poszedł rząd polski. Oto ten sam rząd, który wczoraj uważał Niemcy za największą potęgę na świecie, teraz zdecydował się na podjęcie całego ciężaru walki na wschodnim froncie niemieckim. Obiektywnie warunki takiej walki nie wróżyły powodzenia, lecz siła sugestii była tak ogromna, że te istotne racje nie wchodziły w rachubę. Siła ta wzmożła się niebawem, gdy nagle doszło do sojuszu z Anglią, która wczoraj, w okresie Monachium, była oceniana jako organizm niewspółmiernie słaby w stosunku do potęgi Niemiec. Odnawiono również zachwiany sojusz z Francją.

W ten sposób strategicznie została odтворzona sytuacja z pierwszej wojny światowej, z tą różnicą, że miejsce Rosji carskiej zajęła Polska. Polska miała 5 razy mniej ludności niż Rosja 1914 roku i 55 razy mniejszy obszar, mimo to wzięła na swoje barki ciężar wojny na wschodzie, choć świeżo w pamięci musiały pozostać ciężkie wysiłki Rosji carskiej w latach 1914—1917.

Podczas gdy sojusz rosyjsko-francusko-angielski trwał długie lata przed wybuchem wojny i był utrzymywany w aktualności szeregiem planów wojskowych Polsce wystarczyło przewidywanie o charakterze politycznym — bez współpracy sztabów wojskowych.

Zlekceważono natomiast możliwości, jakie stwarzałyby wojskowy sojusz polsko-ra-

\*) Wykaz broni i sprzętu wziętego przez Hitlera przy aneksji Czechosłowacji w 1939 r. Uzbrojenie: 2175 ciężkich i lekkich dział, 501 dział pól, 785 miotacz min, 469 czołgów, 43.876 k.m., 1.090.000 karabinów, 114.000 pistoletów, 1.582 samolotów.

Amunicja: 1.000.000.000 naboju do kb. i k.m., 3.000.000 pocisków artyleryjskich i gazowych. Bliżej nieokreślona ilość sprzętu mostowego, aparatury podśluchowych, reflektorów, sprzętu pomiarowego, samochodów ciężarowych, osobowych i specjalnych.

Powyższe zestawienie oparte na oficjalnych publikacjach wydanych przez rząd III Rzeszy w r. 1939.

\*) Porównaj artykuły w „Kuznicy” Nr 39 i 40.

\*\*) Dane średnie z lat 1926—34, za kręglone dla przejrzystości obrazu.

dzieci. Dla rzeczywistości wrzesniowej sojuszu ten mógł być etapem dla wytchnienia, zreorganizowania się i uświadomienia sobie metod walki nieprzyjaciela. Siły polskie zepchnięte za granicę państwową znalazłyby na zapleczu sił radzieckich chwilową bo dajże ochronę, gdyby nawet uderzenie niemieckie w niedługim czasie miało pójść dalej. Zresztą przez sojusz polsko-radziecki wojna automatycznie odwlekała się do wiosny, względnie uderzenie niemieckie kierowało się na zachód, w każdym razie Polska unikała katastrofalnego osamotnienia.

Oto były racje wojskowe sojuszu, lecz zwyciężyły racje, które łączyły się z całym dotychczasowym rozwojem i strukturą wewnętrzną państwa.

Trudno dziś mówić o warunkach współpracy polsko-radzieckiej, gdyż nie ma żadnych śladów, aby ze strony polskiej czyniono jakiegokolwiek próby w tym kierunku. Sądzić należy, że musiałyby się one skończyć odejściem reżimu sanacyjnego od władzy, jeśli nie przy podpisaniu warunków, to po rozgromieniu wojsk polskich w każdym razie. Czy była to cena zbyt wysoka dla rządu w przededniu katastrofy wrzesniowej? Wydaje się, że nie było w ogóle ceny zbyt wygórowanej, aby uniknąć hańby bezprzykładnego rozproszenia wojska i likwidacji państwa. Lecz rząd sanacyjny nie chciał dojrzeć tych możliwości, gdyż megalomania z jednej strony, a negacja Związku Radzieckiego z drugiej strony całkiem te możliwości przekreślały. Prowadził on tak długo propagandę mocarstwowości, aż w końcu sam w nią uwierzył. I choć największe potęgi nie ważyły się na rozprawę z Niemcami o własnych siłach, lecz szukały sojuszu nie bacząc na żadne różnice, rząd polski uznał za możliwe rozprawić się z nimi sam na sam.

#### ZAKOŃCZENIE

Kłeska wrzesniowa była z reguły oceniana jako następstwo błędów wojskowych i politycznych. Jest to ocena najsluszniejsza i najbardziej rzucająca się w oczy. Prasa wojskowa na emigracji przerzuca winę na ówczesne położenie strategiczne. Jednak głębsze wniknięcie w istotę tego zjawiska zmusza do szukania przyczyn szerszych i bardziej wszechstronnych. Oczywiście, wyluszczone przyczyny nie tylko nie usprawiedliwiają istotnych błędów dowodzenia czy koncepcji politycznych, lecz nakładają jeszcze większe brzemie odpowiedzialności na przedwrzesniowe kierownictwo polityczne i wojskowe, które wywierając przemożny wpływ na całość życia narodowego w najmniejszej mierze nie sprostało swemu wielkiemu zadaniu. Lecz o ile błędy osób lub grup rządzących należą do przeszłości i przestały działać z chwilą usunięcia ich od wpływu na losy państwa, o tyle przyczyny, integralnie związane z psychiką i przyzwyczajeniami społeczeństwa, z jego rozwojem kulturalnym tkwią jeszcze i muszą być usunięte, jeśli chcemy szczerze zapobiec powtórzeniu się podobnej hańby i nieszczęścia.

Armia polska w 1939 roku rozpoczęła z Niemcami wojnę, przerywając tym pasmo powodzeń pokojowych III Rzeszy. Mimo zbrodniczego niedozbrojenia, lekkomyślnej koncepcji politycznej i całkowitego załamania się dowództwa wojsko przez swój wysiłek bitewny okazało światu ogrom potęgi niemieckiej i stało się sygnałem alarmującym, który poruszył serca i umysły świata. Lecz błędy, które się złożyły na tak szybkie i tak kompletne załamanie się wojska, osłabiły znaczenie nauki. Świat dostrzegł w pierwszym rzędzie słabość Polski a nie potęgę Niemiec. Armia polska błądząc się w warunkach kompletnej nierówności i według fałszywych założeń i metod nie była w stanie znaleźć słabego miejsca w naturze niemieckim, toteż nie dała wskazówki napadniętym w dalszej kolejności narodom, na jakiej drodze szukać szans zwycięstwa. Droga ta została odkryta dopiero pod Stalingradem.

Apoloniusz Zawilski

W nr. 39 w „Przyczynach wojskowych“ na skutek opuszczenia wiersza, został zniekształcony sens trzeciego błędu wojskowego w końcu 4 szpalty, mianowicie jest wydrukowane: „3) Zasadniczy brak walki“, ma być: 3) Zasadniczy brak przewidywań co do charakteru i form przyszłej walki“.

ZYGMUNT SZYMAŃSKI

## TRZY SZANSE

**Z**A WSZYSTKO zle co w Polsce się dzieje winią niektórzy, mniej czy więcej poważnie, demokrację. Mało tłuszczy? Winna demokracja. Pociągi przepelnione? Winna demokracja. W kinach dają złe filmy? Winna demokracja. Aczkolwiek nie warto z poglądem tym dyskutować poważnie, stwierdzamy jednak, że jest to przykład nader często powtarzającego się błędu, polegającego na łączeniu w związek przyczynowy dwóch faktów zupełnie od siebie bezpośrednio niezależnych. Podobno w Danii zaobserwowano spadek liczby urodzeń, jednocześnie zaś ornitologowie stwierdzili, że kraj ten nawiedza coraz mniej bocianów. Czy ktoś będzie w powyższej zbieżności dwóch faktów szukał potwierdzenia bajeczki o tym, że bociany przynoszą dzieci?

Ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że życie w Polsce rzeczywiście nie jest dla olbrzymiej większości obywateli usłane różami. W Polsce doprawdy jest ciężko żyć. Ale rzecz również i w tym, że właśnie dzięki zdobyciom ustroju demokratycznego uzyskaliście szansę, które — wykorzystane — rokują nam jak najlepsze nadzieje na przyszłość.

Szansę tę wykorzysta i realizować będzie na przyszłość narodowy plan gospodarczy, a na lata najbliższe plan odbudowy gospodarczej, nazwany przez min. Mincę „trzyłatką sytości“.

#### CHAOS CZY PLANOWANIE

Pierwsza szansa, to likwidacja władztwa monopolistycznego kapitalizmu, przy którego panowaniu wszelkie planowanie jest niemożliwe. „Zgłoszony projekt uchwały — mówił na ostatniej sesji KRN min. Mincę o planie odbudowy — jest logicznym wynikiem tych głębokich reform gospodarczych i społecznych, które dokonane zostały w Polsce. Bez tych reform wszelkie próby planowania byłyby z góry skazane na niepowodzenie i zawisłyby w powietrzu, tak jak zawisły w powietrzu i spaliły na panewce interesujące, ale żalodne w swej bezradności i niemocy nieśmiałe próby planowania w okresie Polski przedwrzesniowej.

Kto próbuje wyczerpać w współczesnych warunkach wysoce rozwiniętej techniki wytwarzania dyskusję na temat konieczności planowania gospodarczego — ten trafia kulą w plot. Nikt chyba nie myśli poważnie o możliwości harmonijnego rozwoju gospodarki narodowej przy panowaniu nieczym nieskrepowanej zasady laissez-faire. Nikt nie przypuszcza, ażeby skomplikowana morfologia gospodarcza dwudziestego stulecia mogła sprawnie działać bez interwencji państwa.

Zazwyczaj jednak łatwo się zapomina, że planowanie jest tylko abstrakcyjnym problemem, nie tylko zagadnieniem techniczno-gospodarczym, u którego podstaw leży wprowadzenie kontroli państwa do życia gospodarczego kraju, ale że jest to zarazem problem gospodarczy, społeczny i polityczny. Ważna jest bowiem — z punktu widzenia interesów przeważającej części narodu — nie odcierana sprawa samego planowania, ale określenie ośrodka dyspozycyjnego planu gospodarczego. Ważne jest kto, jaka klasa społeczna planuje, bo od tego zależy dla kogo, po co i jak się planuje.

Zatem punkt ciężkości zagadnienia przesuwają się z dylematu — plan czy wolna konkurencja — na alternatywę: kapitalistyczno-monopolistyczny plan gospodarczy, czy też socjalistyczny, lub demokratyczny plan gospodarczy.

Jak wygląda — biorąc najogólniej — planowanie w świecie kapitalistyczno-mo-

nopolistycznym? Państwo nie ingeruje w ekonomikę kraju dopóty, dopóki inicjatywa prywatna zdolna jest utrzymać stan pełnego zatrudnienia, poziom ogólnego dochodu społecznego i, w konsekwencji, stałe ożywienie gospodarcze. Z chwilą jednak gdy wobec gwałtownego wzrostu podaży (spowodowanego tym właśnie ożywieniem) następują trudności w znalezieniu rynków zbytu, gdy monopole ograniczają produkcję (do czego zresztą mają stałą tendencję) i gdy stan zatrudnienia spada — występuje państwo ze swą publiczną inicjatywą i publicznymi inwestycjami, mającymi na celu podniesienie stanu zatrudnienia, wzmocnienie siły nabywczej i — co za tym idzie — osiągnięcie ponownego poziomu ożywienia. Ale wtedy ponownie następuje spadek stanu zatrudnienia zgodnie z przedstawionym procesem i znów następuje konieczność interwencji państwa. „Po prostu życie gospodarcze znajduje się stale w błędnym kole“ — jak stwierdza znana ekonomistka Jean Robinson.

Planowanie w świecie kapitalistyczno-monopolistycznym nie ma na celu podniesienia dobrobytu mas (jeśli dobrobyt ten się realizuje to raczej wbrew zamierzeniom tego planowania), a jedynie osiągnięcie stanu pełnego zatrudnienia, co jest jednak nieosiągalne. Ożywienie bowiem sprowadza nieuchronnie depresję, wbrew wszelkim planowaniom.

Państwo mogłoby może rozwijać swoją przedsiębiorczość w kierunku osiągnięcia sprawiedliwego podziału dóbr, przez planowanie na własność przedsiębiorstw i przez politykę zgodną z interesami całego narodu, z reguły jednak — przy panowaniu monopoli — rola państwa jako hamulca w pogłębianiu się kryzysu ogranicza się najczęściej do inwestycji zbrojeniowych. Dlaczego? Dlatego, że jest to jedyny rodzaj publicznej inwestycji, który nie koliduje z interesami monopolistycznymi; każdy inny stanowi dla właścicieli monopoli większą lub mniejszą konkurencję. Mając zaś i bezpośredni gospodarczy wpływ na losy państwa kapitalistycznego i wpływ pośredni przez osobisty udział w rządzie, kontakty z członkami rządu, partii rządzącej, prasy rządowej, korpusu oficerskiego, sądownictwa itd. itd. — monopolisci starają się za wszelką cenę do takich inwestycji i nie dopuścić. I — mówiąc nawiasem — jeżeli tak często powtarzamy, że monopole pchają świat do wojny, nie jest to spowodowane niechęcią do tego czy innego milionera amerykańskiego, czy praskiego bankiera, ani też przeświadczeniem, że on osobiście lubi i chce wojny — ale dlatego, że istnienie władztwa monopoli musi nieuchronnie prowadzić do wzrostu wydatków zbrojeniowych (jako jedyne wentyla bezpieczeństwa ustroju) i w konsekwencji do starć międzynarodowych.

Planowanie kapitalistyczno-monopolistyczne to kwadratura koła. Może być ono skuteczne tylko na bardzo krótką metę, nie zmienia systemu podziału dóbr, nie zapakują wcale, albo w bardzo nieznaczny stopniu dążenia mas do sprawiedliwości społecznej i prawie nieuchronnie prowadzi do gwałtownych wojen.

W świetle powyższych uwag (nasświetlających zresztą tylko z grubsza mechanikę planowania monopolistycznego) zrozumiałe się stają słowa min. Mincę: „Poto, żeby planować w złożonym i pożądanym kierunku... trzeba... żeby nie było w gospodarce narodowej obszarów i wielkich kapitalistów, trustów i karteli, potężnych banków i dominacji kapitału zagranicznego.

To zadanie zostało w Polsce chlubnie wykonane“.

#### FABRYKI CZY MANUFAKTURA?

Druga nasza szansa to odzyskanie Ziemi Zachodnich, bez których jako kraj poważnie pod względem gospodarczym zacofany, musielibyśmy położyć nacisk na dobra produkcyjne, odsuwając na dalszą metę produkcję dóbr konsumpcyjnych.

U podstaw planowej gospodarki demokratycznej leży idea obrócenia zasobów społeczeństwa na pożytek całego narodu, a nie tylko dla dobra klasy posiadającej. Nie mając przeszkód w postaci władzy zorganizowanych kapitalistów, imperatywu wygospodarowania jak największych zysków dla nielicznych właścicieli środków produkcji, konieczności zachowania „rezewowej armii“ bezrobotnych, zdolna jest gospodarka demokratyczna utrzymać poziom produkcji na wysokim poziomie, zdolna jest w pełni wykorzystać możliwości produkcyjne.

Aby jednak możliwości produkcyjne wykorzystać, trzeba je mieć. Bez szerokiej bazy aparatu produkcyjnego, nie można marzyć nawet o realizacji zasadniczego celu planowej gospodarki demokratycznej, a mianowicie o zapewnieniu dobrobytu całemu społeczeństwu. Nic więc dziwnego, że pierwszy w świecie plan gospodarczy, plan Zw. Radzieckiego, kraju gospodarczo zacofanego, postawił sobie jako zadanie bezpośrednie i najbliższe rozbudowę aparatu produkcyjnego. „Podstawowe zadanie pięcioletki — mówił Stalin w styczniu 1932 roku — polegało na tym, aby skierować kraj z jego zacofaną, niekiedy średniowieczną techniką na tory nowej, współczesnej techniki. „Droga ta wymagała wielu wyrzeczeń, ale innej nie było. Czy zatem i my powinniśmy iść tą drogą? Czy i my decydować się musimy na tak wielkie wyrzeczenie? Czy musimy budować przedczesne fabryki zarzucając produkcję np. manufaktury? Nie. Bawiem cytując słowa min. Mincę: „Otrzymałiśmy na zachodzie wielki aparat produkcyjny środków produkcji, wymagający nie budowy na nowo, ale tylko odbudowy, co jest znacznie mniej kosztowne... To dziedzictwo umożliwi nam wielką i niezmiernie cenną rzecz, umożliwi nam koncentrację wysiłków na podniesienie konsumpcji człowieka w oparciu o wielki aparat produkcyjny Ziemi Odzyskanych“. Z przytoczonych przez min. Mincę liczb wynika, że pod koniec trzyletniego planu udział Ziemi Zachodnich w ogólnej produkcji wynosić będzie dla przemysłu metalowego 28 %, dla produkcji wagonów 85 %, dla materiałów budowlanych 48 %, dla tkanin bawełnianych 50 %, dla superfosforatów 71 %, dla elektrod węglowych 100 %.

#### DOBROBYT CZY ZBROJENIA?

Wreszcie trzecia szansa to nasz sojusz ze Zw. Radzieckim, który pozwala nam na wydatne zmniejszenie tempa zbrojeń i odbudowy przemysłu zbrojeniowego — co w tak wielkim stopniu zaciążyć musiało na pierwszej pięcioletce radzieckiej.

„Zadanie planu pięcioletniego — mówił swego czasu Stalin — polegało na tym, aby stworzyć w kraju wszystkie przesłanki techniczne i ekonomiczne, niezbędne do maksymalnego podniesienia zdolności obronnej kraju, umożliwiającej zorganizowanie zdecydowanego oporu wobec wszelkich prób interwencji zbrojnej z zewnątrz, wszelkich prób napadu zbrojnego z zewnątrz“.

Konieczność niezależnienia się od wrogiego świata i stworzenia podstaw obronnych narzucała imperatyw szybkoj mobilizacji kapitałów, przy nieznacznym wzroście konsumpcji, narzucała ponadto pewien rodzaj dyktatury gospodarczej. O tym, że polityka ta była słuszną, nie trzeba chyba dzisiaj — po zwycięstwie nad hitleryzmem, odniesionym głównie dzięki wysiłkowi Zw. Radzieckiego — nikogo przekonywać.

Czy jednak i my musimy i powinniśmy nastawić naszą gospodarkę na produkcję zbrojeń? Czy i my musimy zrezygnować z dobrobytu, fabrykując armaty? Nie. „Jesteśmy bowiem w tym szczęśliwym położeniu, że nie musimy się zbroić forsownie i natychmiast, że nie jesteśmy sami, że możemy rozbudować swoją armię i zbroić ją planowo w oparciu o pomoc Zw. Radzieckiego“ — jak zauważył min. Mincę.

Trzy fundamentalne założenia PKWN, trzy zasady naszej demokracji, nasze trzy wielkie szanse, a więc nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna, odzyskanie Ziemi Zachodnich i sojusz ze Zw. Radzieckim dały nam nie tylko możliwość samego planowego działania gospodarczego, ale i takiego działania, które bezpośrednio i na najbliższą metę skierowane jest na podniesienie dobrobytu narodu. Gdyby którekolwiek z tych fundamentalnych założeń usunąć nasza trzylatka musiałaby być trzylatką walki z monopolami, trzylatką produkcji obrabiarek, albo trzylatką zbrojeń, w żadnym jednak razie nie byłaby trzylatką sytości.

Zygmunt Szymański.

JAN ŚPIEWAK

\* \* \*

Uczę się na nowo mądrości stawiania kroków.  
Odszukuję drogę do swoich oczu, do swoich zrenic,  
w których zastygło przynięcone latami zdziwienie.  
I zbliżają się dłonie do mnie wspólną mogiłą,  
której nie ujrzę nigdy, albowiem rozgniotły ją buty.  
Uczę się na nowo mądrości dostrzegania troski uśmiechu  
i chwlejąc się, opieram się o dzień, który przemija.  
I w twarze przechodniów patrzę, by dostrzec w nich  
gruzy Warszawy, szum samolotu, i rysy  
twarzy matki mojej, zastrzelonej w łapance.  
Surowe są twarze przechodniów: skala wykuta w jeziorze,  
która odbija dno w wodorostach i chmury ptaków drapieżnych.  
Uczę się na nowo mądrości mówienia — dzień dobry  
i słów najprostszych jak cegła. Liście całuję  
udając, że skaleczyłem nimi swe ręce.  
Siwy, siwy jest dym wieczoru i krzaków kłęczących  
w oczach okien — płomień bomby wygaseje.  
Zdejmuję z bagnetu rozgnieciony ped gąsienic,  
kładę na wargi. Niech odżyje i zatrępoce zielenią.

MARIA JAROCHOWSKA

## O D P O C Z Ą T K U



Leon nakazał sobie przede wszystkim jedno: nie myśleć o nodze. Na razie. Póki bolesny kikut nie podgoi się nieco. Póki konieczność opuszczenia szpitala nie włączy go z powrotem w bieg upływających dni już nie jako najszybszego gracza z napadu drużyny „Groble II”, ale jako słamazarnego kalekę, Leona Wójcika, dla którego stały się bezużyteczne wszystkie, nawet najszykowniejsze buty świata, z prawej nogi.

Łatwo było postanowić sobie: nie myśleć. Leon chciał się zawsze swoją silną wolą, „żelazną” — jak się to dumnie mawiało w zastępie „Burych Wilków”. W swych szesnastu latach imponował kolegom na półkoloniach letnich, kiedy z mizernego ogniska, w którym piekli z niezmiernie krzykliwą uciechą kartofle, zawsze z wierzchu spalone a od środka surowe — brał rozżarzony węgiel i z twarzą ułożoną starannie w kamienną obojętność ścisnął go w palcach.

Potem gdy przyszedł lata kryzysu i ojcu obcinano dniówkę na fabryce, Leon postanowił korepetycjami zarobić na czesne w gimnazjum. I zarabiał. A chociaż śnił się koledzy, kiedy pobladły ze złości oświadczył im, że uczeń jego, tłusty Henio Witkowski z niedomkniętymi ustami i polipem w nosie musi przejść do klasy piątej, pod koniec roku Heniek fucząc z przejęciem przez niewidzialne zrosty w jamie nosowej dukał mozołnie lecz poprawnie twierdzenia Talesa i Pitagorasa. A jego świadectwo oblane łzami macierzyńskiego szczęścia przez pulchno-różową panią Witkowską o obfitym biuście — nie zawierało ani jednej dwójki.

Ale nie myśleć o nodze — to już nie była sprawa głupiego żuźla, opłaty za czesne, wybieganej dawaniami lekcji, czy whifante geometrii do głowy skrofulicznego kolegi. Tutaj silna wola zawodziła Leona. Im bardziej starał się zapomnieć o swoim kalectwie, tym usilniej ono samo dawało mu znać o sobie. Wszystko spryskięło się przeciw Leonowi. Pielęgniarki przebiegały szybko, aby mu przypomnieć, że mają normalne, zwyczajne nogi. Za oknem słyszał kroki nieznanych, a już znielawidzonych przechodniów, którzy na pewno nie wiedzą, co to jest kalectwo. A durny stolik, który remu, gdy się chwiał podłożono pod krótszą nogę zwinęty w ośmiorko kawał gazety, miał bądź co bądź swoją nogę. Nie tak jak Leon. Nawet własne sny oszukiwały go haniebnie. Kiedy zasypiał śmiertelnie znużony narzuconą sobie dyscypliną myślową, roily mu się diabelnie ruchliwe sny. Kopał pilkę, skakał przez ognisko — ba nawet tańczył. Budził się z przejmującym, niby niewytłumaczonym smutkiem i dopiero gdy na wpół przytomnie konfrontował swoje sny z rzeczywistością, odnaleziona na nowo świadomość własnego kalectwa obezwładniała mu serce paraliżem najstraszliwszej rozpacz.

W końcu Leon zdecydował się na pewne ustępstwo. Nie będzie myślał o nodze na przyszłość. Nie będzie myślał co będzie dalej, czy potrafi dać sobie radę. Ale przemyślił sobie wszystko wstecz. Od początku. Jak było. Dokładniusiętko. Jak gdyby opowiadał bajkę Glencie, która zawsze musiała wiedzieć ile król mógł mieć perł w koronie i o której godzinie dworzanie kładą się spać.

Więc we fabryce pracowali z ojcem do ostatniej chwili. Leon jak zawsze na piętrze w warsztacie wulkanizacyjnym, ojciec na dole w ślusarni. Właściwie to ich zakład był przed wojną najstarszą w mieście fabryką cukierków i czekolady. W okupację przez cztery lata Niemcy produkowali dalej, potem nagle — coś im się w głowie obróciło, wszystkie maszyny kazali zwać w biskopciarni, a hale fabryczne zamienili na war-

szaty reparacyjne. Była ślusarnia, kuźnia, stolarnia, warsztat wulkanizacyjny. Ojciec Leona pracował we fabryce od 27 lat. Jako kierownik pudełkarski. I ceniono go wysoko, bo wszystko umiał. On to, niby jaki artysta, układał wystawy w firmowych sklepach na mfeście. Kiedy znowu psuł się automat do zawijania cukierków, a ślusarz Nowak opił się, niby na bolejący ząb, nikt inny tylko stary Wójcik poradził naprawić.

Więc jak Niemcy skasowali fabrykę, Wójcik dalej pracował, teraz w ślusarni. A kiedy zaczęli wszystkich ludzi po ulicach łapać do kopania tych ich szańców, ojciec wyrobił Leonowi miejsce w warsztacie.

W tę styczniową niedzielę ruszył się front. Na fabryce raz po raz wyla złowroźnie syrena alarmowa, przez megafon gdała chrapliwie kukulka, a niewidoczne w wysokościach samoloty śpiewały przeciągle i tajemniczo. Robotnikom nic się robić nie chciało. Szwendali się jak muchy w mazi. Tylko tak. Aby, aby. Ale wacha po dziedzińcu ciągle chodziła, więc musieli udawać, że pracują.

Aż we wtorek z rana zajeżdża auto Freitag dyrektora — to mniejsze. Mercedes. Już z daleka słychać: silnik nawala. Jedna świeca zaoliwiona nie pali, a w *ausspuff* strzela jak z karabinu. W wozie pakunków aż po dach i na wierzchu pies — ten Lumpi, co to go trzy razy na fabryce truli kielbasą strychninową i zawsze wytrzymał — bydlę niemieckie.

Freitag z auta wylatuje. Nie w mundurze, ale jakiś ma na sobie kusy płaszczki zielony jak trawa i włochaty (Loden — orzekła matka, kiedy jej to opowiadali) — twarz całkiem mu się zrobiła stara, szczecina na brodzie na dwa centymetry, oczy czerwone. Lata po warsztatach i strasznie jakoś ryczy: „Alles rauss!”.

Robotnicy popatrzyli po sobie milcząco. Ocho! — Nie śpieszą się wcale. Obtarli ręce i powolutku wychodzą. A Freitag tylko popędza: „Schneller, schneller” i sam budynek na klódkę zamyka, a żeby tak mu dzwonią jak te klucze co mu się w trzęsących palcach zupełnie plątają. Wyszli wszyscy przed bramę i czekają co będzie. Dopiero Freitag na nich z krzykiem. Niech sobie w tej chwili idą, bo każe żołnierzom do nich strzelać. „Alles rauss!”. Więc się rozeszli z ociąganiem i tylko każdy się poza siebie oglądał jak Freitag przez się sztabę żelazną na bramkę zakłada. Ale mu nie szło, bo trzeba było wiedzieć jak. Trochę od dołu a potem z nagłą mocno wcisnąć.

— To my do domu — popatrzył pytająco Leon na ojca.

— Ano chyba —

Dopiero jak uszli kawałek Leon nie mógł wytrzymać i cieszy się:

— Daleko on na tym Mercedesie nie zajdzie! Nie da rady z taką świecą.

— Ale maszyn nie zdążyli zabrać — psie krwie — powiedział cicho ojciec takim jakimś dziwnie nierównym głosem, że aż się Leon na niego popatrzył.

Bo ojciec najbardziej ze wszystkiego nie lubił mówić. Taką już miał naturę. Bywało że i cały dzień słowa nie powie. Od małego raka pamiętał Leon matczyne o ojcu gadanie, kiedy w niedzielę po zmyciu obiadowych naczyń na ganku sobie z sąsiadkami rozmawiał.

— Mój stary dobry jest. Nie mogę powiedzieć. Wypłatę w sobotę zawsze mi przyniesie. Wódki nie piję, chyba od wielkiego dzwonu, palcem by mnie nie tknął, nie przeklina, dzieci nie ruszy — ale też milczek jest, niech ręka boska broni. Na kłęczkach by go można prosić, nie powie nic i ślus. Jakby go to każde słowo złotego dukara kosztowało. A nie był taki do ślubu. Tylko ten sakrament widać tak go odmienił, chlepy są już takie.

Ojciec mało sobie robił z tych babskich skarg:

— Takie już, kobieto, mam usposobienie — powiedział jej czasem bez złości, gdy mu już bardzo dogryzała.

Przyszli do domu, rozsiadli się w kuchni przy stole nad niebieską ceratą. Ale obiadu jeszcze nie było. Tak im się jakoś zrobiło jakby to było wielkie święto. Może drugi dzień Wielkanocy. Godzina dwunasta w południe, a oni w domu.

— A inne fabryki prawie że do czysta wymieli — zamruczał ojciec. Matka jakieś garnki po fajerkach przestawiała, to nawet nie zwróciła uwagi, ale Leon dobrze zrozumiał, że ojciec kończy tę swoją myśl, co ją jeszcze na ulicy zaczął. Jak to Niemcy w lipcu wagonami maszyny z fabryk wywozili. I bardzo się zdziwił, co to się ojcu stało, że taki jest dziś gadatliwy.

Całe popołudnie ruch był niemożliwy w kamienicy, a w mieszkaniu sądny dzień. Bo wszyscy sąsiedzi gdzie się po mieście rozbiegli i tylko raz po raz któryś obiadowany z wypiekami na twarzy do domu wracał i bagaż zostawiał i dalej zdyszany leciał. Różne rzeczy znosili. Całe kupony materiałów tych co je Niemcy na kartki dawali, eleganckie buty nowiuteńkie, jakieś garnki emaliowane, puszkę z konserwą, butelki z kolorowym sznapsem, a czasem nawet koldry atlasowe. Czego tam nie było!

— Szaber — powiedziała z wyrozumieniem kulawa wysiedlona z Warszawy, która na parterze w oficynie mieszkała i nigdzie chodzić nie mogła. Nazwa ta wydała się Leonowi jakoś dziwnie groźna, obca i okrutna.

Wesoło było w kamienicy. Mała Gienka ta dopiero miała raj! Latała jak wściekła. Każdy tobót musiała obejrzeć. Wszędzie nos plegowaty wściubić. Tylko jedna mała lamentowała, aż się po klatce schodowej niosło:

— O rany, rany — każdy gdzieś pójdzie, coś przyniesie, o familie zadba, — tylko ten mój taki niedojda, nie ruszy się, o dzieciach nie pomyśli — z głodu woli zdechnąć niż o swoich się zatroszczyć! A żeby chociaż słowo powiedział — milczek przekłety!

Przecież ci powiedziałem, kobieto, że tak mi wszystko niemieckie ze szczętem zbrzydło, że nigdzie chodzić nie będę. G... mi po ich bogactwach! — zniecierpliwili się ojciec.

Późnym wieczorem pierścien nerwowego grzechotu karabinów maszynowych otoczył całe miasto. Paliły się magazyny, gdzieś koło dworca. Ale jak! Żółta luna na pół nieba! Przez ciepławe powietrze niósł się, podsuwając ludziom serca do gardła, dziwaczny huczący pogłos armat, ale nie ten dudniący, jednostajny, pamiętny z wrześniowych dni rozpacz, tylko nieznan, rozłożony na kilka tonów, groźny i powtarzający co chwila swoją pozytywkową melodię.

— Organki Stalina — mówili półgłosem doświadczeni warszawiacy.

— Działa szybkostrzelne — poprawiał z uznaniem ojciec. A na czerni niewidocznego nieba rozsypywały się różnokolorowe wodotryski rakietowych gwiazd.

Rano stali wszyscy w bramie. Nagle ojciec niespokojnie się poruszył. Drugą stroną ulicy przebiegł bładawy wyrostek — nietutejszy — chyba z innej dzielnicy. Pod pachą trzymał długą, żelazną sztabę. I Leonowi wydała się ona znajoma. Potem pojedynczo, chyłkiem mknęli zaferowani ludzie zasłaniając połamani ubrania dzwigane ciężary, jakieś stalowe przedmioty, narzędzia, pudła. Aż niespodziewanie Leon rozpoznał maszynę do pisania dyrektora Freitag — Erikę — portable — cacko nie maszyna. Teraz niósł ją jawnie nieznanym mężczyzną w lśniących długich butach.

— Tato — wrzasnął Leon — toż to nasza fabryka rabują.

Ale ojciec już leciał naprzód.

— Halo, uwaga — ostrzegali ich po bramach ludzie — na rogu Grunwaldzkiej jeden żołnierz niemiecki się ostał z rozpylaczem. Zostawili go czy co? Może rozum stracił z tego strachu. Przejść nie da — do każdego kropli. Chyba że przelecieć bardzoj bokslem. Choć teraz to już go nawet nie słychać. Może poszedł.

Ojciec skulił się i już był po drugiej stronie ulicy. A Leon nawet strzału nie usłyszał, tylko w oczach mu mignęły złote punkty i strasznie nim szarpnęło. Nie żeby ból poczuł, tylko zaraz upadł jak długi. Milczał karabin, kiedy się doczołgał z powrotem do bramy. Oglądając się za siebie. Wracał ojciec wzdłuż szlaku ciemnej smugi cieczy rozartanej po szarości asfaltu.

— Krew to niby jest czerwona, a tu wygląda jak gęsta oliwa, albo jakiś smar, co się z motoru wylało — pomyślał Leon i zrobiło mu się całkiem słabo. Ale kiedy ojciec odwinął mu nogawkę, z tydki lała się krew prawdziwie czerwona jak beret święteczny Gienki.

— Ale ci dało, toż ci kula prawie że na nitce wisi. Musi kula dum-dum, nacięta, była — westchnął stroskany ojciec. Leon nie mógł się w ogóle patrzeć na włóknistą, bezkształtną miazgę, która zrobiła się z jego kolana.

W drewnianej pace dwukolowego wózka ręcznego przywiózł ojciec Leona do domu. Gwałt się zrobił straszny. Zleciała się cała kamienica. Matka nie wiedziała za co chwycić, wszystko jej z rąk leciało, a ojca przeklinała, że chłopaka na zatracenie wyciągnął. Mała Gienka nic tylko Leonowi garnuszek z wodą do ust podsuwała, a jemu wcale pić się nie chciało, tylko mu było słabiej i słabiej. Krew zalała podłogę na pół kuchni, którą dopiero przedwczoraj matka wyszorowała. Wreszcie ojciec sznurem od bielizny przewiązał Leonowi nogę wyżej kolana. Zaraz przestało się lać, tylko czarnymi kroplami kapota.

— Skąd pan wiedział, że choremu trzeba nogę podwiązać — spytał się potem zyczliwie ojca w szpitalu słwy doktor z czerwonym, świecącym nosem.

— A no jak gumowy schlauch pęknie to trzeba go wyżej ścisnąć, żeby woda nie tryskała — odpowiedział rzeczowo ojciec. Ten szpital Leon mało z początku pamięta. Wszystko mu było jedno. Kazali mu leżeć. Taki był słaby, że może do siedmiu doliczył — nie więcej.

Minęło parę dni, a on ciągle nie mógł uwierzyć, że nogi nie ma. Zwłaszcza, że go bolała, tam gdzie jej nie było. Patrzył się na koc i myślał, że może tak mu się tylko majaczy, że po prawej stronie całkiem jest płasko i nigdy już nic nie będzie. Aż raz zrozumiał. Było to może tydzień po jego nieszczęściu. Wszyscy chorzy leżeli na materacach po korytarzach, bo tu jeszcze było najcieplej i najbezpieczniej w razie niemieckiego nalotu. Na salach od wysadzenia mostu pozwalało całe ramy okienne razem z szybami.

Leon leżał tuż obok drzwi sali operacyjnej. Tego dnia przywieziono kupę ludzi poranionych przez minę, która gdzieś tam w bramie wybuchła. Strasznie ich poszarpało. Po południu niekształtne kukły obandażowanych chorych rozmieszczono na siennikach, doktorzy przeszli z pospiesznym szczeniem ku wyjściu i Leon słyszał jak pielęgniarki biorą się do sprzątanía. Jedna wyszła na korytarz. W prawej ręce niosła kubeł pełny okrutnie zakrwawionych szmat — pod lewym łokciem coś podługnego, owiniętego w białe kompresy. Akurat ktoś do niej zagadał, więc stanęła zaraz koło Leona. I Leon zobaczył, że z pomiędzy obsuwających się płatów płótna wylał palec. Taki sobie zwykły palec z przydługim, żółtawym paznokciem. Pielęgniarka niosła po prostu pod pachą obciętą komuś przed chwilą nogę. Nie była to przecież noga Leona. Tej już nie było od tygodnia. A jednak Leon zamknął oczy i wraz z nerwowym dreszczem poczuł na czole wilgoć zimnego potu. Bo pojął nagle w olśnieniu przenikliwego bólu, iż może tak być, że człowiek sobie, a noga sobie. Jak koło od samochodu, albo nóżka celuloidowego naguska. I chociaż to niby jest jeszcze ciało ludzkie, ale już całkiem na szmelc. Żadna siła tego świata, potęga żadnej nauki nie potrafi z powrotem połączyć z człowiekiem tego czegoś, co przed momentem jeszcze było jego nieodłączną częścią, a teraz straszliwie obce i przerażające niesione jest przez obojętną pielęgniarkę na spalenie.

\*

Leon raczej nie lubił jak do niego z domu przychodzili. Wolat być sam. Najgorzej z matką. Naprzód zaczynała cichutko chlupać, potem głośniejsze labiedzić. Ze chłopaka całkiem jej zmarnowali. Co komu po takim kalece — ani to do pracy, ani żadna panna na zamążpójście się nie zgodzi. Wycierała raz po raz nos mokrą chustką z niebieskim szlaczkiem, a mała Gienka ciągnęła ją w zawstydzeniu za spódnice!

„mama — cicho!” — i rozglądała się ciekawie naokoło. Leon już wolał gdy matka opowiadała jak to teraz jest ciężko.

— Chleba kupić nie można, wszystkie sklepy pozamykane, ponoć każdemu tylko jedną pięćsetkę mają zostawić, a ojciec to nic tylko furt na tę fabrykę biega. Jakies tam mają zebrania. Myślał człowiek, że jak się tej Polski doczeka, to już wszystko będzie dobrze — a tu taka bieda, taka nędra, że no!

Ucieszył się Leon, jak przyszedł ojciec. Tata pomilczał trochę i o Leonowym kalcie ani wspomniał. Jakby dwie nogi leżały pod kocem. Tylko opowiedział, że fabrykę zupełnie wyrobowali.

— Nawet części z maszyn powykrecali i ukradli. Djabły nie ludzie. Strach powiedzieć jak tam wygląda. Gruzy, brud, świnstwo, ani jednej szyby w oknie, nawet klamki zrabowali. Na żadnego dyrektora nie czekają, bo kto wie kiedy by to było. A tak sami się zebrali i porządkują. Każdą z domu swoje własne narzędzia przynoszą i robbtę się pcha. W marcu muszą ruszyć. Przecież maszyny są. Wypłaty to jeszcze długo nie będzie. Darmo pracują, ale jak produkcję uruchomią, to się wszystko wyrówna. Najgorzej, że ziarna kakaoowego nie ma. Więc będą robić marmoladę, bo susz się dostanie na przydział i cukier. Cukierki też będzie można produkować i biszkopty. A Rada Zakładowa też już jest — dokończył wstydliwie.

O tej Radzie Zakładowej rozwiłła się dopiero matka:

— Słyszane rzeczy, wiesz Leos, Ojca przewodniczącym tej ich Rady Zakładowej zrobili! W głowie im ta demokracja pomieszała — takiego milczka na odpowiedzialne stanowisko stawia! Przecież on żadnej prezentacji nie ma. Słowa cedził jak złote dulary. Będą jeszcze widzieć — ale Leon czuł, że była trochę dumna. Na drugi raz serce się w Leonie ścisnęło, kiedy mu ojciec przyniósł kule. Eleganckie, białe, gładkie, gładkie wypolstrowane. — Sam zrobiłem — mruknął ojciec pod nosem. Leon już śladł, więc zaraz się zaczął do tych kul pasować. Aby ojcu nie pokazać, że mu od samego ich widoku na płacz się zbiera. Podparł się, stanął niezgrabnie i okropnie dziwnie się poczuł. Tak lekko, jakby nie jednej nogi mu brakowało, ale pół ciała. A ta druga połowa zupełnie go na lewą stronę przeważała, że trudno było równowagę utrzymać. — Punkt ciężkości się przesunął — przypomniał sobie Leon jeszcze z gimnazjum.

I wtedy ojciec nie patrząc na niego powiedział, żeby się nie martwił. Wszystko jest obmyślane, za rok protezję mu taką założą, że będzie chodził jak stary. Przecież już przed wojną takie wyrabiali, leciutkie z aluminium, zgrabne, że kto nie wie, to od prawdziwej nogi nie odróżni. Przed południem Leon będzie pracował w fabryce przy automacie. Robota lekka, siedząca, a płatna jak inne. I po południu będzie na kurs maturalny uczęszczał, aby w tym roku jeszcze gimnazjum skończyć. Lecz Leon zamiast się cieszyć zaniósł się rozdzierającym płaczem, jak mała Gienka, kiedy jej matka w niedzielę do koleżanki pójść nie da.

\*

A jednak ojciec miał rację. Za dwa miesiące Leon ubrany w biały chałat siedział już w fabryce przy automacie do zawijania karmelków. Ruchoma taśma podjeżdżała mu pod uważne palce, prędko wkładała bibułkę i kolorowy papierek a poniżej do kosza wytryskał zawinięty już cukierek. Po południu się uczył. Najzdolniejszy na kursie. Aż jednego poranku ni stąd ni zowąd w cichym szmerze motoru i kuszącym zapachu owocowych olejków przysłała mu do głowy taka jedna rzecz. Że właściwie może już teraz myśleć sobie nawet i o swojej nodze. Niemiec wypędzony, jest Polska, fabryka idzie, a on i tak już jest za stary, aby głupią piłkę na błoniach z chłopakami kopać.

Maria Jarochońska

TADEUSZ BREZA

## A jeżeli nie powieść, to co?

**S**WEJ OSTATNIEJ książce Stefan Otwinowski dał tytuł „Czas nieludzki”. I zakwalifikował ją jako powieść. Rozmiarami jest to utwór wyjątkowo szczupły. Liczy zaledwie 1300 stron\*. Angliki nazwaliby go „long short story”. Nazwaliby go — długą nowelą. Ale tylko ze względów na rozmiar! Opowiadaniem „Czas nieludzki” nie jest, ponieważ nie zawiera żadnej peregrynacji ani żadnego zdarzenia, które by dawało jedność całości utworowi. Nie jest on również powieścią. Nie z tego powodu, że to utwór względnie drobny. Drobny jest „Adolf” Constanta, drobny jest „Biały Dwór” Banga, drobne są poetyckie powieści Coetzee, którym dopiero wydawca odpowiednio dobranym drukiem dodawał tuszy. Tuszy by można dodać również Otwinowskiemu. Książka by jednak pozostała połowiczna. Weźmy bowiem, na przykład, „Adolfa”. Małutkie to, ale absolutnie kompletne. Inaczej przedstawia się sprawa z korpulencją „Czasu nieludzkiego”. Zanim zasiadłem do pisania, jeszcze raz przebiegłem naczelną scenę tej książki, i przypomniał mi się z „Wyznań” J. J. Rousseau ten sędzia, który miał przepiękne rysy i twarz; petentów przyjmował leżąc w łóżku. Ludzie, którzy przychodzili podziwiali jego cudowną głowę. — „I nikomu na myśl nie przychodziło, że to już wszystko!”. — Podobne uczucie ogarnia nas, kiedy kończymy książkę Otwinowskiego. Bo, na przykład dane o żadnym z jej bohaterów nie są skompletowane tak, aby z nich powstawał pełny człowiek. Role ich w książce nie są ułożone tak, abyśmy mieli poczucie pewnych zamkniętych całości. Nie! Książka Otwinowskiego nie ma takich rak i nóg jak zwykła powieść. Z tego też względu powiada o jej autorze K. Wyka, że „do czystego narzędzia wielkiej formy nie dorósł” („Odrodzenie” Nr 39, str. 8). Być może! Czy można jednak coś na ten temat powiedzieć, biorąc sobie „Czas nieludzki” za przesłankę. Podtytuł dany przez Otwinowskiego książce, rzeczywiście mówi o niej, że to powieść, ale to jeszcze nie przesądza czy na prawdę w ten sposób Otwinowski wyobraża sobie powieść i czy w chwili obecnej nie potrafi czegoś innego co by jej kanonom odpowiadało w sposób znacznie ścisłszy.

A zdaniem Wyki lepiej się trzymać ścisłych kanonów, bo one pomagają autorowi się trzymać. Wszelkie odchylenia od wzorca — „formy pośrednie, mieszane, hybrydyczne tylko... u wyjątkowych pisarzy stają się zapowiedzią... form nowych, czystych i sprecyzowanych. Najczęściej dają tylko świadectwo nierozwikłanych przez pisarza sprzeczności, niedopowiedzianych przez niego konsekwencji, które przy większym wysiłku pisarskim dałyby się zapewne rozwiązać”. — Wreszcie dodaje K. Wyka to niezwykle charakterystyczne oświadczenie: — „Postulat czystości gatunków jest, dla mnie przynajmniej, podstawowym uzupełnieniem postulatów realistycznego Realizmu w temacie, w treści, to żądanie bardzo wielorakie i nie dające się sprowadzić do kilku jasnych wskazówek. Natomiast czystość i precyzja gatunku dają pisarzowi instrument formalny, pozwalający zgłębić rzeczywistość również od strony narzędzia formalnego, jakim dany pisarz się posługuje”. Zatem z gruba i potocznie rzecz ujmując Wyka zdaje się rozumować w sposób następujący: — ponieważ chcemy mieć w Polsce powieść realistyczną, a nie możemy wyraźnie powiedzieć co to jest realizm, niechże przynajmniej z powieści wyraźnie widać, że to powieść. Rozumowanie to, mimo że sam doprowadzam je aż do karykatury, całkiem mi odpowiada. Jestem za nim! Tyle że przez cały czas zdaje sobie z tego sprawę, że jest to rozumowanie taktyczne. A więc rozumowanie, którym można ścisnąć tych, którzy nam uciekają od realizmu, jak na przykład, Jerzego Zawlejskiego, który daje w swej „Drozdzie do domu” treści nie byle jakie, lecz płynne i kapryśne, ale nie Otwinowskiego, który materiał do swej książki naniósł konkretny, tyle że zbudował z niego nie wiadomo co. A raczej coś takiego, na co nie mamy pod ręką gotowej nazwy. W sumieniu prorealisty w tym wypadku do tego stopnia zadawała mnie materiał, że od książki nie wymagam uspakajającej legitymacji, że to na pewno powieść. Niech sobie nie będzie powieść! Książka mówi mi ciekawie prawdy, wiarygodne i przytomne, tym zyskuje moje zaufanie na tyle, że w moim stosunku do tego utworu akcent zainteresowania przenosi się z pytania: — „Czy to powieść?” — na dalszą jego konsekwencję.

— „A jeżeli nie, to co?”

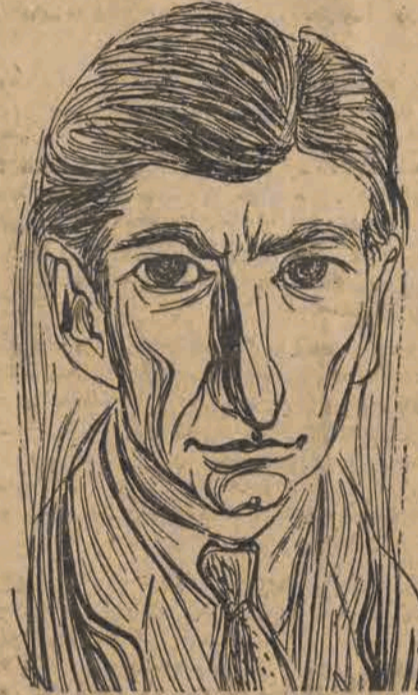
Tym bardziej, że forma powieści nie jest żadną świętością. Po pierwsze, bo nie jest to zwów forma aż taka stara, aby był wytyd

postępować z nią sobie do woli. Po drugie, bo jest to forma płynna. Mało formalna. „Worek” — jak powiadał o niej Witkiewicz. Wyka podchodzi do tej sprawy inaczej. Mówi, że dobrze jest się trzymać powieści, — „ponieważ pojęcie realizmu nie da się sprowadzić do kilku jasnych wskazówek”. — Mnie się zaś wydaje zupełnie na odwrót: — że trzeba się trzymać realizmu, ponieważ pojęcie powieści nie da się sprowadzić do kilku jasnych wskazówek: — Przeglądając jej dzieje z ostatnich stu pięćdziesięciu lat (to znaczy z epoki dojrzałości) widać jaką to forma ustepliwa. I tym usteplisz im większy pisarz się do niej zabiera. Tym ona staje się wątpliwsza! Cóż więc to za forma. Bo przecież i Balzac miał formę powieściową puszczoną (jeszcze Sainte-Beuve nad tym ubolewał) i Proust, a za naszych czasów niekiedy Jules Romains, czy Tomasz Mann. Oczywiście, że można tych pisarzy zrównoważyć innymi wielkościami, wielkimi formalistami w powieści. Ich szczęście! Widać brali

wisko okropności, a każda powieść o tych czasach, w których nie znajdują pomieszczenia, przemienia właśnie tą swoją nieobecnością w obrażający nas banal. Stąd osiągnąć można tylko coś w tej sprawie ruszając ją fragmentami. Z brzęku! Jak jedzenie nie do przeknięcia. Tak właśnie postąpił Otwinowski. Przełożył na szyfr sztuki pewne wyjątki. Biorąc jeden stąd, drugi zowad. Nie przełożył całości. Czy to znaczy, że jest z niego pisarz niedojrzały. Nie, to znaczy, że ten materiał jeszcze do większych całości nie dojrzał. Miarą dojrzałości pisarza będzie w podobnych sytuacjach zupełnie inna. Dojrzały jest nie ten kto z pamięci w sztukę przenosi jak najwięcej, ale ten kto przenosi jak najmniej i tylko to co się już da.

W wspomnianym artykule Wyka zdaje się wyrażać o „Czasie nieludzkiem” następująco: — jako twórczość to jest dobre, ale jako powieść to jest złe. Jeżeli jednak „Czas nieludzki” nie jest powieścią, to w takim razie z wyroku Wyki pozostałoby do przyjęcia tylko te słowa, że „Czas nieludzki” to jest dobra twórczość. Kto lubi sprawiedliwość może zgodzić się na takie ujęcie, ale kto lubi klasyfikację ten nie. Bo takiemu człowiekowi nie wystarczy powiedzieć, że coś nie jest powieścią, trzeba mu powiedzieć w takim razie co to jest. W każdym razie to nie jest dziecko czystej formy. Powstało ono z podwójnej ochoty. Z ochoty na pamiętnik, i z ochoty na powieść. Albo też, jeżeli ktoś woli, z braku wyraźnej ochoty na powieść i z braku wyraźnej ochoty na pamiętnik. Bo o ile powieść okupacyjna jest dziś prawie niemożliwa, to i wspomnienia o tych czasach nie są łatwe. Bo czasy były i gigantyczne i monotonne. Klimat miały one, że tak powiem, kontynentalny. W przeskokach, krańcowy! Jednym wyznaczały gwałtowną śmierć, innym wlekące się, marnudne lata. Katastrofy o nasileniu absolutnie kosmicznym epoka ta umiała łączyć wprost z jakimś, powiedziano by się wysychaniem czasu. W wspomnieniach dotychczasowych wzięto się do katastrof, do zdarzeń krańcowych, do tortur, do pożarów i do śmierci. Nieruszone pozostały paury. Najtrudniejsze, ale zarazem — powiem — najcharakterystyczniejsze dla tych czasów. Historycy nie je różniące, niżeli nawet katastrofy. Wyraźnym dążeniem Otwinowskiego jest właśnie dać relację o takich paurzach. Nasyca je zdarzeniami — nie będzie to chyba niedyskretna, jeżeli jako jego okupacyjny sąsiad z Warszawy wyznam to — w większości prawdziwymi. Własnymi i cudzymi, przyporządkowanymi osobom z książki wedle swego klucza. Pewne zaśnięcia przesuwają ze sfery ówczesnych marzeń do sfery wypadów zrelacjonowanych jako autentyczne. W rzeczywistości okupacyjnej Otwinowski marzył o rewolwerze, w „Czasie nieludzkiem” Marek, który zatłumie upostaciowaniem autora, go ma. Pisarz odzwierciedla również, niektóre z wysiłków, własnych i wyobserwowanych, zdążających do zachowania w tych szalonych czasach możliwie najzdrowszych nerwów i spokoju i możliwie największej porcji ze swego człowieczeństwa. Podanie tych wszystkich spraw w pamiętniku zegocentryzowała by go nieznośnie. Zresztą przy podobnym celu jaki sobie postawił Otwinowski jako to forma nie na czasie, z obowiązującym w niej prawem własności! W powieści bowiem autor może ściągać przygody najróżnorodniejszych ludzi w jedno. Ilość postaci krających szczęśliwie się przez to zmniejsza. Siła egzemplifikowania pewnych losów zwiększa. Szwy więc w tej książce są z fikcją; fakty, myśli, reakcje, losy przeważnie autentyczne. Powieść więc to, czy pamiętnik? Ani to, ani owo. Utwór, który jest mulatem. Czy pierwszy taki na świecie? Nie! Gigantycznym mulatem, klasycznym dziełem jest całe dzieło Prousta. Jest arcydziełem, mimo, że powieść ta z pewnością wątpliwa. „Hybrydyczna” — jakby rzekł Wyka. Tyle, że to hybryda olbrzymia. Ale cóż to za wzgląd. Czy znaczyliby to, że długa uchodzi, a krótka nie!

Po tych długotrwałych sporach na temat korpusu książki, przejdę jeszcze na moment do tego, co przy porównaniu książki Otwinowskiego z osobą tego sędziego z „Wyznań” Rousseau nazwane zostało piękną głową. Na jej piękno godzi się również Wyka. A skoro on się godzi, cóż tu dłużej rozprawiać! W kilku słowach tylko zarysuję co to ta głowa, i dlaczego mnie się ona osobliwie podoba. Główne w tej książce jest po prostu to co jest. Wydaje mi się, że nawet mogę powiedzieć — wszystko to co jest. Te kilkanaście scen, te kilkanaście spojrzeń na wyłot ówczesnych ludzkich króliczych serc, te parę otwórczo przeprowadzonych rozmów z



rys. O. Siemaszkowa

Stefan Otwinowski

się do ostatecznego uporządkowania treści już przeszłych przez pierwsze sito. Natomiast fale nowych treści, fale nowych doświadczeń ludzkich nigdy nie były zdolne pomieścić się w żadnej dotychczas obowiązującej formie powieściowej. Nowe treści z reguły bowiem odmieniają tempo powieści (np. masy doświadczeń psychologicznych, które je zwalniają). Nowe treści również z reguły okazują się nietolerancyjne dla pewnych dotychczasowych konwencji powieściowych. Odpowiedni rytm zaś oraz zespół skompletowanych na dany czas konwencji to elementy fundamentalne dla tego co Wyka chwali pod nazwą formy powieściowej. Otóż trzeba wybierać: — albo nowe treści albo stara koszułka, która na starych treściach powieściowych leży jak ułat. Siła naporu nowych treści stawia nas zresztą poza możliwościami wyboru. Chcemy mówić o ludzkich doświadczeniach, o wszystkim widzianym i o wszystkim przez nas zrozumiyanym. Nie chcemy robić z tego historyjek. A ścisłej: — odczuwany przed tym pewien opór i niemożność przełamania go w żadnym razie nie świadczy o tym, że jeżeli jakiś pisarz nie może, to znaczy, że nie dorósł.

Co nazywam nowymi treściami, o których mogę mówić przy okazji „Czasu nieludzkiego”? Nazywam wszystko to co winno się znaleźć w obrazie tych czasów, a co odskakuje od formy powieściowej w doniedawnej fazie jej rozwoju. Na przykład, czy nie odskoczą od niej te olbrzymie porcje przeżyć lekowych, które były jednym z podstawowych składników życia za okupacji. Albo ta zupełna „chomikizacja” (od — chomik, że — zbiera) mentalności okupowanej. Albo to zagospodarowanie się na codzień, na stałe w strefie upokorzenia, zagospodarowanie się masowe, o wiele poniżej godności wszystkich dotychczasowych postaci z wszystkich dotychczasowych powieści? Cóż więc powieść na to? A narzędzia biotechniczne, którymi okupowany odkazał się z leków i upokorzeń. Te różne nasze odtrutki i narkotyki. Te różne metody odprężenia: u jednych — wódka i śmiech, u innych — wspaniałe stoickie, czy montaignowskie obycie z pojęciem śmierci, zupełne zimmunizowanie się na wszelka myśl o niej. Uporczywe! maniackie! Te wyliczone powyżej nowe treści, i sto im podobnych od razu nie mogą się przydać na zacząg do powieści. Każda powieść przemienia w zbioro

PAWEŁ HERTZ / JAN ROJEWSKI

Z NASZEJ ŁOŻY

WYDAWNICTWO „POLIGRAFIKA”

tamtego czasu, to są rzeczy bardzo dobre. Również śmierci Otwinowskiemu wypadają poruszająco: Oto jedna z nich (str. 11):

— „Za oknami zrobiło się ciemno. Pomruk nie milki. Kiedy wyszli przed dom, na południu świeciły dalekie luno, ale strachu nie było nigdzie. Świat jakby podzielony na sfery — gdzieś w zgaszczonym, złym skupisku atmosfera występuje przeciw człowiekowi. Miasta, upiorne kamienice, przedmieście, oczy czujnej policji, przymus, ciągła regulacja — zacznie się to wszystko, jak nigdy przedtem. Tam jest strach w wielkich rezerwach międzyludzkiego okrucieństwa. Ale tu jest spokojnie, nawet w godzinie śmierci. Bez lęku umierał porucznik. — W czasie cichym, przychylnym, który go zabrał bez żadnej grozy. Po prostu zdawało się, przysłała silniejsza fala wiatru i zmioła duszę z klepska stodoły“.

Albo śmierć Wacława, który zasnął na śmierć pod weronalem. Piękne są nie tylko przedstawione obrazy, ale zatoczone wokół tych zgonów nasze ciasne, ówczesne uczucia. Zdrożności za spokojem tych zejść, za ich formą ludzką. W tonie relacji Otwinowskiego jest zarazem dystans. I zarazem to coś co jest pierwszą właściwością sztuki, sposobu, który pozwala spojrzeć z bliska nie tylko na rzeczy bardzo piękne, ale i na rzeczy bardzo straszne. Z tak bliska, że dobrze wszystko widać, a z obrzydzenia nie musi się odskakiwać. Ważne jest również u Otwinowskiego odtworzenie obsesyjnych, maniakalnych narażeń na psychice okupowanego, z salwowaniem przy tych opisach zasadniczej jego normalności. Zachwiania równowagi psychicznej u ludzi tych czasów pod wpływem lęków i niemieckich czynności prześladowczych miały charakter jak gdyby ataków malarzycznych. Atak przechodził, człowiek z miejsca zdawał się zdrowy. U Otwinowskiego ludzie nie są obłąkami na stałe, i nie są również, co byłoby zupełnie fałszywe, jacyś strachoszczelnicy. Ze strachem walczą jak z szatanem. Niekiedy bywają zdolni nie poddać się jego pokuszeniom, ale on krąży wokół nich. Do scen i do rozważań służy Otwinowskiemu najtrafniejszy styl. Inny; nie jego przedwojenny. Mniej napięty. O wiele mniej intelektualny, nie taki pokazowy. Cichszy! O wiele cichszy też są jego bohaterowie. Znowy trafnie w sensie prawdy historycznej jest to, że oni są wszyscy tacy katalonczni. Trochę sztywni, trochę seni, trochę z wosku. Ale chyba jeden z drugim za jednakość. Okupacja oczom poszczególnego człowieka czyniła drugiego trochę szarym, trochę płaskim. Impet wnikania w cudze sprawy, mówię rzecz prosta o impecie bezinteresownym, był nieco stępiony. Przeważnie człowiek (niezależnie od swojej roboty, nawet najrzykowniejszej) chciał wiedzieć o ludziach z nim sąsiadujących, tylko to, czy nie będzie miał przez nich jakiejś biedy. W te niewiadoma bodła ludzka ciekawość. W rozpoznawczym kierunku, nie w poznawczym. Stąd szarość! Ale w książce Otwinowski opisuje ludzi, którzy chcieli być dla siebie czymś więcej, niż nieczym niebezpiecznym. A są zamazani! Zamazują się przede wszystkim dlatego, że żaden z nich nie ma wyraźnej przeszłości przedwojennej, a w teraźniejszości trochę zanadto tłucze się jak Marek po tym okupacyjnym piekle. Technicznie biorąc nie wiem również czy nie zlewa ich w jedno i to, że Otwinowski rzadko mówi o nich po nazwisku. Tak swoją drogą, czyni Nalkowska, wielka matka imion, ale nawet, pomimo tak ponetnego precedensu, nie wiem, czy to dobrze. Poza tym zawsze — tak od czuwać — imię to w człowieku nazwa na jego duszę, nazwisko to nazwa dla reszty. Czas nieludzki głównie brał się do tej reszty do ciała. Ale oczywiście ta uwaga nazwowa, ma charakter nominalistyczny. Głębiej w samą treść sięgaliśmy może inna. Tycząca tego, że czas u Otwinowskiego ma oddech za krótki, zbity jest w warstwę cieńką. A przecież w samej nazwie powieści pisarz zdawał się zapowiadać, że w jego książce czas odegra niejako rolę tytułową. I to byłoby słuszne! Jednym z elementów meki czasów okupacyjnych było to, że ona tak się rozciągała w czasie. I nie chodzi mi o to, że Otwinowski ten element przepuścił. Bo jakaż książka już dzisiaj zdola zebrać wszystkie! Nawet to najgłówniejsze. Kierunek mej uwagi, zrobionej Otwinowskiemu jest inny. Ten, że przeważna część treści, które daje w swej książce Otwinowski, stałaby się w pełni zrozumiałą, pełno wymiarowa dopiero w rozległej akustyce czasowej. Na tle czasowym rozciąglonym, monotonnym, nieustannym. W skrócie zatem wydaje mi się, że w „Czasie nieludzkim“ pisarz dobrze uchwycił „nieludzkość“, gorzej uchwycił „czas“.

Tadeusz Breza

\*) Stefan Otwinowski. Czas nieludzki. Powieść. „Oficyna Wydawnicza“ — Katowice. 1946.

ZYGMUNT PIÓRO

## HUMANIZM POLITYCZNY \*)

**S**POTYKAMY się już dzisiaj powszechnie z przekonaniem, że okres kapitalizmu był „dehumanizacją“ życia gospodarczego i politycznego. Pobudkami działalności ludzkiej w tym okresie w stopniu znacznie większym niż kiedykolwiek, nie były sprawy człowieka, lecz rzeczy, źródła surowców, ręce do pracy, produkcja, rynki zbytu, kapitał. Rola człowieka — szarego człowieka, w systemach produkcji, wymiany i konsumpcji, zorganizowanych pod sztandarami liberalnego kapitalizmu i imperializmu była ograniczona. „Dzięki naszemu pokoleniu jest ponowna „humanizacja“ życia gospodarczego i politycznego“ (St. Ossowski — Praca i wieź społeczna — Przegląd Socjalistyczny Nr. 5).

Co oznacza owo uczynienie człowieka i jego najistotniejszych spraw osrodkiem ogniskującym całe życie kulturalne danej grupy społecznej i jakie są metody i środki realizacji tego postulatów?

Całkowitą słuszność ma Maritain pisząc, że w tym celu, dla najbardziej skutecznego osiągnięcia konieczne jest wypracowanie „filozofii politycznej“ „słusznej i dobrze uzasadnionej“. Nie godzi się jednak, by najbardziej ludzkie sprawy uzasadniać argumentami metafizycznymi, otoczonymi mgiełką mistycyzmu i abstrakcji. Myśl naukowa bowiem, jakkolwiek by się zapatrywała na jej nowe zdobycze, wyraźnie uszeregowala dawne teorie i twierdzenia według ich empiryczno-racjonalnej sprawdzalności, dając równocześnie miarę naukową — racjonalną krytycznej słuszności dla wszelkich nowych koncepcji.

Maritain, wychodząc z założeń, że osobowość jest to misterium ludzkiej natury, mającej swe korzenie w duszy człowieka; że społeczeństwo, będąc naturalną potrzebą „towarzystwa“ natury człowieka, „osobowości otwartej“ i posiadającej konieczną dla pełnego osobowego rozwoju pluralistyczną organizację, służyć musi jednostce w jej ponadczasowym przeznaczeniu; że społeczeństwo musi być jednocześnie: transcendentne, uniwersalne i pluralistyczne, — formułuje koncepcję humanistycznej filozofii politycznej, czyli „humanizmu politycznego“. Koncepcja ta jest szersza i głębsza niż każda poszczególna forma rządu w słynnej klasyfikacji Arystotelesa, według której są trzy typowe formy rządu: reżym monarchistyczny, dążący do siły i jedności, reżym arystokratyczny, który prowadzi do różnicowania wartości i do stwarzania wartości najwyższych i najrzadziej spotykanych i reżym republikański, dający wolność osobowego rozwoju.

Humanizm polityczny „jeśli oderwiemy się od właściwych danemu czasowi i miejscu warunków i konieczności historycznych, uważa za najlepszy reżym mieszany, w którym typowe cechy charakterystyczne trzech klasycznych reżymów Arystotelesa są zjednoczone organicznie“ (54).

Mając za sobą autorytety Arystotelesa i św. Tomasza, a w ręku pojęcia napiętnowanej absolutem osobowości i niezmiennej natury ludzkiej, Maritain z niezachwiającą pewnością, w oparciu o prawo natury — „niepisane prawo“, które rozum ludzki odkrywa w naturze człowieka i „według którego wola ludzka powinna działać dla podporządkowania się koniecznie celom istoty ludzkiej“ (64) — wyznacza naturalne prawa człowieka. Naturalne prawa człowieka dotyczą praw i obowiązków, jakie wynikają z zasady istnienia ludzkiego: czynienia dobra i unikania zła.

Z koncepcji praw naturalnych i ich stosunku do prawa natury, prawa narodów i prawa pozytywnego, wyprowadza Maritain trzy kategorie praw człowieka, odpowiednio do rozumianego przez niego stosunku jednostki do społeczeństwa: 1) prawa osoby ludzkiej (Les Droits de la Personne humaine), 2) prawa osoby obywatela (Les Droits de la Personne civile), 3) prawa osoby pracującej (Les Droits de la Personne ouvriere).

Prawa osoby ludzkiej obejmują: — prawo do życia, prawo do wolności osobistej i prawo kierowania swym życiem, (jako pan samego siebie i swoich czynów, odpowiedzialny za nie przed Bogiem i przed prawem państwowym) — prawo doskonalenia życia, prawo zdobywania życia wiecznego według własnego sumienia, po drodze wyznaczonej przez Boga, prawo wolnego wykonywania praktyk religijnych, prawo do małżeństwa z własnego wyboru i założenia rodziny, prawo własności; ogólnie — „prawo każdej istoty ludzkiej, by być traktowaną jako osoba a nie jako rzecz“ (111). Prawa osoby obywatela sprawują się do: — prawa każdego obywatela do aktywnego udziału w życiu politycznym, a szczególnie równego dla wszystkich prawa w głosowaniu, — prawa narodu do ustanowienia konstytucji i decydowania o formie rządu, — prawa stowarzyszeń i udziału w partiach

politycznych, — prawa wolnych badań i dyskusji, — równości politycznej i równego prawa bezpieczeństwa i sprawiedliwości, — równego dostępu do urzędów i zawodów.

Prawa osoby pracującej zawierają: — prawo do pracy i wolnego jej wyboru, — prawo wolnych zrzeszeń zawodowych, — prawo robotnika do tego by być traktowanym społecznie jako człowiek pełnowartościowy, — prawo zrzeszeń ekonomicznych (syndykaty), — prawo do sprawiedliwej zapłaty; a w systemie uspołecznionym prawo do współwłasności i współkierownictwa przedsiębiorstwem, prawo do otrzymania pomocy w niedostatku, podczas bezrobocia, na wypadek choroby i w starości, — prawo do bezpłatnego udziału w elementarnych dobrach materialnych i duchowych społeczeństwa (113).

Wyposażenie człowieka tyłoma nęcącymi prawami odpowiada najlepszemu zrozumieniu wspólnego dobra i osobistego szczęścia. I wszystko byłoby dobrze w założeniach i konsekwencjach, gdyby nie pamięć historyczna i wiedza etnograficzna. Przypominają one, że nie tak dawno jeszcze — sto, pięćdziesiąt lat temu, a nawet gdzieś niedługo w okresie międzywojennym, nawet dziś jeszcze, słyszało się w Europie twierdzenia, z których wynika, że owa „natura ludzka“ — (rzekomo niezmienna i u wszystkich ludzi jednako) prowadziła do całkiem odmiennych praw człowieka, niż w sformułowaniu Maritaina.

Nie każdy miał prawo do życia (skala Tarpejska, starcy u Eskimosów), nie wszyscy cieszyli się wolnością osobistą (nie wolnik, chłop pańszczyźniany); nie każdy miał prawo doskonalenia się według własnego sumienia (palenie kacerzy na stosie, śmierć Savonaroli); w systemie feudalnym nie każdy miał prawo do wyboru żony; — ktoś na przestrzeni tylu wieków historii miał prawo do czynnego udziału w życiu politycznym — wyjąwszy klasy posiadające; czyż pozostawiano wolność badaniom (Galileusz, Giordano Bruno). Jakżeż daleko był robotnik w kapitalistycznym systemie od współkierownictwa przedsiębiorstwem!

Czyż gdziekolwiek indziej spotykamy się z takimi objawami zmienności i wprost diametralnych przeciwieństw, jak w zakresie instytucji, zwyczajów i ideologii społecznych w czasie i przestrzeni?

Czy możemy przypuszczać, że owe przemiany mają swe źródło „w niezmiennej naturze ludzkiej“? Czy też należy zakładać zmienność „natury ludzkiej“ wobec bogactwa przemian zjawisk kulturalnych? Jeśli ulega zmianom — to jak się przedstawia jej bezpośredni kontakt z absolutem?

Postaramy się ten szereg problemów postawić i rozpatrzyć na płaszczyźnie metod myślenia naukowego.

Sam fakt rozmaiętego rozumienia pojęcia „natury ludzkiej“ budzi wątpliwości co do używania go w celach przekonania o słuszności takiego czy innego prawa, lub wyjaśnienia tego lub owego zjawiska społecznego. John Dewey wyróżnia cztery wyraźnie różniące się między sobą koncepcje „natury ludzkiej“: 1) „natura ludzka“ oznacza pierwotną i przyrodzoną konstytucję; to co jest instynktowne w odróżnieniu od zdobytego. 2) „natura ludzka“ jest określona w terminach władz psychologicznych (pamięć, uwaga, postrzeganie i t.p.); istota „psychologiczna“ jest antytezą istoty zarówno fizycznej jak i społecznej. To dualistyczne ujęcie posłużyło za podstawę wyjąciwemu do Locka i brytyjskiej szkoły liberalnej do rozróżnienia między prawem natury (natural law) i „prawami naturalnymi“ (natural rights), które są stałe i powszechne w formalnej strukturze ludzkiej, z jednej strony, — a prawem cywilnym i politycznym, które zmieniają się w zależności od zmieniających się warunków, z drugiej. 3) „Ludzka natura“ jest sama w sobie pusta i pozbawiona formy, przeto jest podatna na przekształcenia pod wpływem zewnętrznych bodźców. Pogląd ten znajdujemy u Locka (tabula rasa) i u jego francuskich zastępców, Condillaca i Helvetiusa. Ci ostatni twierdzili, że umysł nie jest niczym innym jak odbiornikiem zewnętrznych wrażeń. 4) „Ludzka natura“ może być poznana tylko przez swoje wielkie instytucjonalizowane wytwory — język, religie, prawo, państwo, sztukę. W jednostkach jest tylko w stanie potencjalnym; osiąga dopiero realność pod wpływem kulturowych instytucji. Koncepcja ta jest bliska arystotelesowskiej, odróżniającej w człowieku naturę „potencjalną“ i „aktualną“.

Określenie, czym jest natura ludzka, mamy dużo więcej; to cztery są najbardziej typowe. Mnogość różniących się określeń świadczy a) o niejednakowym doświadczaniu istoty tego co jest prawdziwe i wyłącznie ludzkie, b) o nieuchwytliwości obserwowanego osobowości.)

John Dewey (Encyklopedia of the Social Sciences).

\*) Stan. Ossowski: W poszukiwaniu własnej osobowości. (Problemy, Nr. 4).

Ponadto interesować nas tu będzie, jak zmieniły się interpretacje natury ludzkiej w zależności od każdorazowego układu sił wytwórczych i prądów umysłowych społeczeństw w poszczególnych epokach.

Klasyczna myśl grecka oparta jest na wierze w naturalną i wrodzoną nierówność ludzi. Arystoteles twierdzi, że niektórzy ludzie są niewolnikami „natury“ i posiadają wrodzone braki racjonalnego myślenia; kobiety konstytucyjnie są niższe od mężczyzny, a barbarzyńcy od Greków.

Filozofia stoicka uważała ludzi za równych z natury; różnice między ludźmi tłumaczyła różnicami poezji, wynikłymi z skutków politycznej organizacji oraz stosunków ekonomicznych, które są raczej zinstytucjonalizowane niż naturalne. Tego rodzaju poglądy znajdują swoje wytłumaczenie w tym, że poprzednicy stoików — cynicy, pochodzą z proletariatu greckiego. Ponadto pogląd ten powstaje w okresie upadku państwa — państwa i rozkwitu imperium rzymskiego. Upadają lokalne więzy społeczne, pojawia się kosmopolityzm.

Chrześcijaństwo przyjmuje to samo stanowisko, wprowadzając rewolucję w ocenie człowieka — nakazuje on lojalne godzenie się na własną pozycję w istniejącym systemie społecznym.

Główny kierunek średniowiecza w tym względzie był syntezą idei pochodzących z różnych źródeł. Panowało w nim poczucie ciężkości na człowieku zobowiązań: religijnych, gospodarczych i politycznych. Wiele zależności wyznaczano z przeciwstawienia natury ludzkiej porządkowi idealnemu — bóstwu.

Czasy nowożytne przyniosły ochronę jednostki przed państwem. Przeważnie w naturze ludzkiej podkreśla się emocje i pragnienia zamiast rozumu, prawa zamiast obowiązków. Hobbes konstruuje koncepcję społeczeństwa w oparciu o naturę ludzką, w której pierwszą rolę odgrywają irracjonalne czynniki.

Rozwój życia przemysłowego i handlu wpływa na powstanie ideologii, której korzenie tkwią w uczuciowej stronie natury ludzkiej. „Działalność ekonomiczna jest podstawą całego życia cywilizacyjnego, z niej pochodzi naturalne (nie - sztuczne) prawa ludzkiego postępowania. Społeczeństwo jest dziełem wysiłków ludzi dla zaspokojenia swych pragnień. Stąd podział pracy, wymiana i stała własność są zawarte w tym procesie zaspokajania“ (J. Dewey — ibid.).

Z tego krótkiego przeglądu wynika, że najczęściej w historii angielskiej myśli i koncepcja ludzkiej natury była tworzona nie na zasadzie naukowego obiektywizmu, lecz na podstawie tego co było potrzebne, by dać intelektualne sformułowanie i poparcie dla praktycznych potrzeb społecznych większych lub mniejszych grup; najczęściej mniejszych, lecz potężniejszych przez środki posiadania.

Wśród licznych określeń tego, co jest „dźwierzostkiem“, „jadem“ człowieczeństwa, co doświadczamy zupełnie wyraźnie w takich przeżyciach jak miłość drugiego człowieka, poświęcenie, odpowiedzialność, groźba śmierci, gdzie poczucie zła i dobra może nie znajdować ustalonego zwyczajem kryterium — najbardziej wnikliwym wydaje się zestawienie Cooleya. Wypracował je z niezwykłą trafnością, z osobliwym zmysłem spostrzegawczym i z wielką troską o to, by ujęcia słowne odpowiadały rzeczywistym doznaniom natury ludzkiej, jako wytworom życia grupowego. „Przez naturę ludzką możemy rozumieć wszystkie te uczucia i popędy, które są ludzkie przez swoją wyższość nad uczuciami i popędami niższych gatunków zwierząt, a także przez swoją przynależność do całej ludzkości, a nie do poszczególnych ras lub jednego czasu. Oznacza ona w szczególności sympatię i te niezliczone uczucia, w których sympatia współdziała, jak: miłość, uraza, ambicja, próżność, kult bohaterów i poczucie zła i dobra społecznego.“

W tym znaczeniu natura ludzka słusznie jest uważana jako względnie trwałe pierwiastek w społeczeństwie. Zawsze i wszędzie ludzie pragną zaszczepić i obawiają się śmieśności, liczą się z opinią publiczną, kochają swe dobro, podziwiają odwagę, wspaniałomyślność i powodzenie. Zawsze bezpiecznie jest przyjąć z góry fakt, że ludzie są i byli tylko ludźmi.

Natura ludzka nie jest czymś istniejącym odrębnie w osobniku, lecz jest naturą grupy lub pierwotną fazą społeczeństwa, stosunkowo prostym i ogólnym stanem umysłowości społecznej. Z jednej strony jest ona czymś więcej, niż zwykłym wrodzonym instynktem — chociaż i ten wchodzi w skład — a z drugiej strony czymś mniej, niż ów złożony rozwój myśli i uczuć, przez który powstają instytucje. Ta natura rozwija się i znajduje swój wyraz w owoch prostych bezpośrednich grupach, podobnych nieco do siebie we wszystkich społeczeństwach; grupach, które tworzy związek rodzinny, wspólna rozrywka oraz sąsiedztwo. Doświadczenie wykazało, że w



zasadniczym podobieństwie tych grup znaleźć można podstawę podobnych myśli i uczuć w umysłowości ludzkiej. W nich to wszędzie natura ludzka się wyrabia. Człowiek nie posiada natury ludzkiej przy urodzeniu; nabywa ją tylko przez współzycie towarzyskie, a w odosobnieniu ulega ona zanikom.\*)

Wszystkie systemy filozoficzne dążyły do ujęcia zjawisk wszechświata i życia, człowieka i kultury w jednostajny układ, pozbawiony wewnętrznych sprzeczności.

System „filozofii politycznej” Maritain'a nie jest pozbawiony owej tendencji, przy czym usiłuje on uzależnić jednostajność życia politycznego od jednostajności „natury” gatunku ludzkiego.

Florian Znaniecki we „wstępie do socjologii” krytykuje ową uproszczenie, które ma na celu rozstrzygnięcie powyższego zagadnienia przy pomocy koncepcji „natury ludzkiej”. Pojęciowego uproszczenia i uporządkowania pozornego chaosu zjawisk kulturalnych szukano nie w samych tych zjawiskach, lecz w „naturze ludzkiej”. To trudne zagadnienie stało się nagłe łatwe i proste, jeżeli życie kulturalne pojmemy jako wyraz woli, uczucia i myśli gatunku ludzkiego, czyli klasy istot organiczno - psychicznych, które, rozważane jako empiryczne jednostki, okazują więcej podobieństw niż różnic, posiadają wspólną naturę, różniczkowaną tylko w cechach drugorzędnych.

Skoro świat kultury jest takim, jakim go uczyniła działalność ludzka, działalność zaś ma swe jawne źródła empiryczne w jednostkach ludzkich, więc natura tych jednostek wyjaśnia ich działalność, a przez to samo świat kultury.\*\*)

Ta metoda rozumowania wydaje się całkowicie słuszna aż do momentu, gdy uprzytomnimy sobie błąd popełniany w tym wnioskowaniu, oparty na skłonnościach i przyzwyczajeniach naturalistycznych, utożsamiający człowieka — źródło działalności kulturalnej, z człowiekiem — przedstawicielem gatunku ludzkiego.

„Dopiero analizując, pisze dalej Znaniecki, to wnioskowanie bez uprzedzeń naturalistycznych spostrzegamy zawartą w nim nieścisłość logiczną, polegającą na tym, że pojęcie jednostek ludzkich, jako źródeł działalności kulturalnej, jest zastąpione w ciągu wnioskowania przez pojęcie jednostek ludzkich, jako istot realnych, przedstawicieli gatunku ludzkiego, posiadających empiryczną „naturę”. Zastąpienie takie jest bezprawne, gdyż pojęcia te są zupełnie różne: podmiot czynny nie daje się utożsamiać z przedmiotem przyrodniczym; natura człowieka, jako przedstawiciela gatunku homo sapiens, nie może wyjaśnić jego działalności jako twórcy kultury.”

O człowieku możemy powiedzieć, że ma pewną naturę, różniącą się od innych gatunków zwierząt, ale z właściwościami tej natury nie wyprowadzimy przyczynowych zależności powstania i rozwoju całego zjawiska i instytucji kulturalno - społecznych. Np. pojęcie „instynktu płciowego” nie wytłumaczy nam utrzymywania się: poligamii na Bliskim Wschodzie a monogamii w zasięgu kultury europejskiej.

Z kontekstu filozofii politycznej Maritain'a czytelnik wynosi wrażenie, jakgdyby śladami wiecznej bohateryki praw natury”. Antygoni, można było z „prawa niepisane”, w warunkach najlepszego pod słońcem społeczeństwa, ustalić naturalne prawa człowieka. Maritain określa takie społeczeństwo witalnie chrześcijańskim, rozumiejąc przez to, że w kształtowaniu życia społecznego nie tylko będą grały rolę czynniki naturalne, ale również i nadnaturalne. A w takich warunkach — kto wie, może wolno nie liczyć się z rzeczywistością życia zbiorowego i jego swoistą prawidłowością; może wolno wierzyć w bezinteresowność, szlachetność i nieomyłość głosieli praw człowieka.

Natomiast historyczno - porównawcza analiza doktryny praw naturalnych wykrywa leżące u jej podstaw prywatne interesy klas posiadających (rested interests) i determinujący wpływ każdorazowego układu sił wytwórczych i stosunków polityczno - społecznych.

Przed wszystkim należy zaznaczyć, że prawa naturalne posiada jednostka, a nie grupa społeczna, a zatem doktryna ta jest częścią współczesnego indywidualizmu, i że prawa te tworzą system sądów o wartości, podniesionych metafizycznie do rangi absolutu. Doktryna prawa natury jest jednym z aspektów ludzkiej dążności do rozróżnienia między tym co jest i co powinno być, i wynika z przekonania, że pewne ludzkie pragnienia większą mają wartość niż siła zewnętrzna lub zewnętrzne warunki. Specyficznej treści tych pragnień, utożsamianych z prawem, dano wielką skuteczność propagandową przez powiązanie jej z naturą. W wieku XVII Boga zastąpiono przez bardziej mętne, lecz więcej użyteczne pojęcie „natury”. Naturalne prawa zdobyły znaczenie i uznanie praw fizycznych.

Filozofowie i prawnicy — od stoików począwszy aż do scholastyków — odróżniali prawo naturalne, powszechne, pojmowane częściej jako „złoty środek”, od prawa przypadkowego, szczegółowego. Twierdzono, że to rozum odkrywa istnienie tych praw mimo ich stałych, codziennych gwałców. Podobnie jak rozum Newtona odkrył prawdziwe ruchy ziem, mimo odmiennej pozorności tych ruchów, obserwowanych codziennie.

Potężne wsparcie dla tej doktryny przyszło ze strony historii. Anglicy w rewolucji 1688 r. domagali się specjalnych praw obywatelskich jako naturalnych, gdyż posiadali je już od Magna Charta i wcześniej. „Naturalne prawa były metafizycznym tłumaczeniem określonego systemu wartości lub sposobu życia”. (Brinton, Encyclopaedia of the social sciences).

Głównym czynnikiem specyficznej sytuacji, w jakiej powstała doktryna praw naturalnych, wyjaśniającą jej treść i formę, jest potężny wzrost klasy średniej, zaangażowanej w „business for profit”. Feudalizm został obalony. Pojawia się inny sposób produkcji: rękodzielnictwo kapitalistyczne. Ogromna różnica między pracodawcą i robotnikiem. Równolegle pojawia się duża klasa kupców. Rolnictwo również rozwija się na zasadzie kapitalistycznej. W zasadzie występują dwaj kontrahenci: wolny kapitalista i „wolny” robotnik; obaj mają „wolność” zawierania różnorodnych umów. Ten rodzaj „wolności” oczywiście wchodził w zakres głównych wówczas praw naturalnych.

„Doktryna praw naturalnych została stwo-

rzona przez bogatą klasę średnią, po pierwsze jako pozycja wyjściowa do walki z feudalizmem i klasą duchowieństwa; po drugie: po zwycięstwie nad nią, jako autorytatywna kodyfikacja pragnień zwycięzców, projekcja tych życzeń w pewnego rodzaju religijny absolut. Doktryna praw naturalnych nie jest teorią ani opisem lub uporządkowaniem faktów, lecz wiarą zasadniczą, bazą dogmatyczną „królestwa Bożego” XVIII wieku. (Brinton ibid).

Największy wkład w formowanie i propagowanie tej doktryny włożyli w tym czasie Locke i Rousseau. Pierwszy sumaryzując osiągnięcia rewolucji 1688 r. — indywidualizm, prawo oporu wobec gwałtu, prawo prywatnej własności. Drugi przez przyzyczenie się do emocjonalnego połączenia moralności klasy średniej z prawami naturalnymi, przypisując naturze, moc mistyczną. Wiek XIX przyniósł przeniesienie się tych przekonań na inne klasy. U podłoża tych przesunięć leży przejście od rękodzielnictwa, do użycia maszyny w fabrykach. „System idei, przy pomocy których jedna klasa odwoływała się zwykle do etycznego poczucia ludzkości, by zapewnić sobie triumf kosztem innej klasy, krystalizował się teraz w układzie dogmatów, przy pomocy których świeżo zwycięska klasa burżuazji skonsolidowała swoje myśli kosztem proletariatu”. (Brinton ibid).

Dlatego myśl marxistowska odrzucała koncepcję naturalnych, niezmiennych praw, jako niezgodną z zasadniczym założeniem dialektyki historycznej i jako kryjąca niebezpieczeństwo skostnienia i zacięcia raz sformu-

waną treścią nad coraz innymi układami sił i warunków życia kulturalnego. Ludzka tendencja do odnajdywania, czy to w człowieku, czy w instytucjach społeczno - kulturalnych, jakiejś stałości, jakiegoś jądra ogniskującego, czy punktów odniesień dla wielkich ludzkich spraw, jest z jednej strony nieodzowna w szukaniu wartości i ustalaniu ich hierarchii, ale z drugiej strony często prowadzi na bezdroża metafizycznych tęsknot i nieodpowiedzialnych, bez empirycznego pokrycia, teorii.

„Prawa człowieka i prawo natury”, gdybyśmy je mogli wyprowadzić z mgiełek mistycyzmu, przeniesić je z kręgu misterium w codzienne życie realnego człowieka, doświadczającego całej złożoności uczestnictwa w kulturze swego cywilizacyjnego zespołu, stały by się dobrą filozofią społeczną. Maritain bowiem pisze: „Postęp ludzkości idzie w kierunku emancypacji człowieka nie tylko w ramach systemu politycznego, lecz także w systemie ekonomicznym i społecznym, emancypacji polegającej na tym, by różne formy zależności, przez jakie jeden człowiek służy drugiemu dla dobra tego ostatniego i jako jego narzędzie, były stopniowo obalane w miarę tego, jak ludzka historia zbliża się do swojego celu. To zakłada nie tylko przejście do lepszego stadium organizacji, lecz także przejście do lepszej świadomości godności ludzkiej osoby w każdym z nas i pierwszeństwa braterskiej miłości wśród wszystkich wartości naszego życia. W ten sposób będziemy dążyli do zdobycia wolności” (109).

Zygmunt Pióro

JÓZEF KOWALCZYK

## Kilka uwag na tematy wydawnicze

Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że pod względem ilości wydanych dzieł z zakresu literatury marksistowskiej, Polska znajduje się gdzieś na szarym koncu w liczbie innych narodów. Wystarczy chociażby wspomnieć, że takie podstawowe dzieła marksizmu, jak „Kapitał” nie zostało dotychczas w całości przetłumaczone na język polski, że nie posiadamy nawet dziesiątej części epokowych prac Lenina i Stalina, że cały porównywalny dorobek badawczy marksistów rosyjskich w dziedzinie ekonomii, historii, filozofii, nauk przyrodniczych itp. jest księgą zamkniętą na cztery spusty dla szerokiego ogółu polskiego.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat podstawowe dzieła marksizmu były tłumaczone na wszystkie prawie języki świata, nie wyłączając języka chińskiego, koreańskiego, mongolskiego i wydane w dużych nakładach we wszystkich krajach obu półkul.

Wszystkich — poza Polską.

Głód książki marksistowskiej jest u nas obecnie tym większy, że dawne nakłady uległy wyczerpaniu, a lata wojny i okupacji dokonały reszty, dewastując biblioteki, zawierające często białe kruki starych wydań marksistowskich.

Wszystko to razem złożyło się na obecny, niezmiernie smutny stan rzeczy w dziedzinie polskiej literatury marksistowskiej. Właściwie mówiąc, należy całą pracę wydawniczą rozpocząć od podstaw.

A tymczasem rośnie zainteresowanie nauką marksizmu we wszystkich sferach społeczeństwa. Co więc wydawać? W jakiej kolejności? Są to pytania bardzo na czasie. „Kuźnica” dobrze zrobiła, otwierając artykułem Adama Schaffa wymianę myśli na aktualny i palący temat polityki wydawania dzieł marksistowskich.

### BRAK PRZEMYSŁANEGO PLANU

Przed wszystkim wstępna uwaga: nie należy zbyt pochopnie zachwycać się naszymi osiągnięciami wydawniczymi na przestrzeni ostatnich dwóch lat. Wydaliliśmy w tym okresie szereg książek, które istotnie mogą wpłynąć na „zapoznanie się polskiego czytelnika z marksizmem”. Co do tego — zgoda. Powstaje jednak pytanie: czy nie mogliśmy zdobyć się na większy dorobek w tej dziedzinie? Okres dwuletni, to okres niemały, który należało lepiej wykorzystać. Słychać powoływanie się na trudności, związane z ograniczoną ilością papieru, brakiem odpowiednich drukarni itd. Trudności te były rzeczywiście poważne w pierwszym półroczu, czy też nawet w przeciągu całego roku 1945. Lecz w r. 1946 zostały one prawie przezwyciężone, a zasadniczego zwrotu w polityce wydawniczej niestety nie ma. Główna przyczyna tego zjawiska — to brak dostatecznie przemysłanego i jasno wytkniętego planu tematycznego. Plan taki należało z pewnością poddać dyskusji w środowiskach naukowo - marksistowskich. Tego nie zrobiono i to się mści. W rezultacie wydaliśmy o wiele mniej literatury marksistowskiej, niż na to pozwalały warunki obiektywne i nie zawsze w pożądanej kolejności. Licząc się z tymi warunkami należało i należy szerzej i śmiało sięgnąć do starych tłumaczeń przedwojennych, udostępniając je w masowych nakładach szerokim rzeszom czytelników.

Nie byłoby w tym nic ubliżającego powadze naszych wydawnictw i pod tym względem Adam Schaff nie ma racji, gromiąc wydawnictwo za brak nowych tłumaczeń i opracowań. Pisze on: „Nie wolno mamić się ilością wydanych prac i wysokością nakładu. Ostatecznie nie w tym trudnego, gdy się ma do dyspozycji drukarnie i pieniądze, przedrukować już istniejące prace. Mówić w tym wypadku o polityce wydawniczej, która

rozwiązuje problemy naszej propagandy ideologicznej, byłoby conajmniej przesadne”. Jest to pogląd błędny. O naszej propagandzie ideologicznej w momencie, kiedy kraj jest dosłownie ogolony z książek decyduje w pierwszym rzędzie właśnie duża ilość wydanych prac i wysokość nakładu.

Po drugie nasza polityka wydawnicza na najbliższy okres — uwzględniając potrzeby szerokiej warstw społecznych, które nie mogą korzystać z rzadkich egzemplarzy bibliotecznych — powinna pójść po linii przedruków, jak największej ilości przedruków, które można wydać szybko i tanio.

### A WIĘC PRZEDRUKI

Czy jednak przedruki, starych wydań przedwojennych mogą zaspokoić obecne potrzeby szerokiej rzeszy? W znacznym stopniu — tak. Przynajmniej niektóre, najbardziej popularne prace klasyków marksizmu, znakomicie nadające się do masowego kolportażu, zostały w różnych okresach czasu wydane w języku polskim. Niektóre z nich już przedrukowano — reszta czeka na wydawcę. Są to przede wszystkim prace, włączone do dwutomowego wydania dzieł Marksa i Engelsa, takiegoż wydania dzieł Lenina oraz prace zawarte w jednotomowym wydaniu dzieł Stalina. Wszystkie te wydania, opracowane przez Moskiewski Instytut Marksa — Engelsa — Lenina, zostały w swoim czasie przetłumaczone na język polski.

W planie wydawniczym na najbliższe miesiące należy koniecznie uwzględnić wydanie tych prac. Słusznie Schaff pomstuje, że dotychczas nie wydano u nas drugiego tomu dzieł wybranych Marksa mimo, że „jest on całkowicie gotów od roku 1941”. O ile nam wiadomo, drugi tom był „całkowicie gotów” do druku o wiele wcześniej, bo już w roku 1935. Ale nie o sprostowanie tych faktów chodzi nam tutaj. Chodzi o coś ważniejszego. Schaff chciałby, aby ten drugi tom wydano odradu w całości, ponieważ jak twierdzi — drukowanie oddzielnych prac rozbija kompozycyjną całość dzieł wybranych Marksa. Jest to oczywiście prawda. Należy jednak uwzględnić również, że wydanie dużego, a co za tym idzie i drogiego tomu, zmniejszyłoby poczynność dzieła. O wiele lepiej będzie, jeśli prace zawarte w drugim tomie zostaną najpierw wydane jako samodzielne broszury o dużym nakładzie. Można resztą zastosować kombinowaną metodę wydawniczą, polegającą na odkładaniu części nakładu w miarę publikowania oddzielnych prac, lub też matrycowania tych prac, w celu wydania całości po zakończeniu serii oddzielnych publikacji. Ta metoda byłaby w naszych warunkach najbardziej racjonalna, albowiem wydatnie zmniejszyłaby koszty wydania zbiorowego tomu, umożliwiając niższą kalkulację ceny. W żadnym jednak wypadku nie należy rezygnować z natychmiastowego drukowania poszczególnych prac oddzielnie, w imię interesu ograniczonego kręgu czytelników, którzy chcieliby jaknajszybciej zapoznać się z całością.

To samo można powiedzieć o dwutomowym wydaniu dzieł Lenina i jednotomowym wyborze pism Stalina. Znakomita większość rozpraw, które złożyły się na całość dwóch wydań, nadaje się do oddzielnego wydania. Dzieła te oddawna istnieją w polskim przekładzie i redakcyjne opracowanie nowego przedruku powinno w zasadzie sprowadzić się jedynie do ponownego skontrolowania tekstów, z punktu widzenia zgodności tłumaczenia z oryginałem oraz zmian w piśmowni.

### PRACA DŁUGOFALOWA

Jest rzeczą zrozumiałą, że jaknajszysze wydanie powyższych przedruków, nadających się do masowego kolportażu nie wyczerpuje bynajmniej działalności wydawni-

czej w zakresie literatury klasycznej na najbliższy okres.

Zupełnie słusznie zwraca Schaff uwagę na niezbędność wydania po polsku takich podstawowych dzieł, jak „Kapitał” Marksa, „Materializm i empiriokrytycyzm” Lenina, „Anti-Dühring” Engelsa. Do tego spisu rzeczy najpilniejszych należałoby jeszcze włączyć „Nedzę filozofii” Marksa i bodajże „Niemiecką ideologię”. Natomiast z wydaniem „Przyczynku do zagadnień monistycznego poglądu na historię” Plechanowa można by było nieco poczekać. Doceniając w całej pełni potrzebę udostępnienia polskiemu czytelnikowi powyższych dzieł widzimy jednakże w tej dziedzinie poważne trudności redakcyjne.

Zacniemy od „Kapitału” Marksa. Po polsku ukazał się dotychczas jedynie tom pierwszy tego dzieła w dwóch przekładach. Stary przekład Krzywickiego jest dzisiaj nie do użytku. Drugi przekład, dokonany pod redakcją Rynga i wydany przed wojną w dwóch zeszytach, jest nierówny pod względem jakości tłumaczenia. W każdym bądź razie zeszyt pierwszy, obejmujący najtrudniejszą część teoretyczną, wymaga bardzo znacznego wkładu pracy redakcyjnej. Prace te należy wykonywać i wtedy dopiero opublikować nowe wydanie pierwszego tomu „Kapitału”. To, co proponuje Schaff, a mianowicie natychmiastowy przedruk tego tomu, z nastawieniem na ponowne, poprawione wydanie w najbliższej przyszłości, jest całkowicie nierealne i niecelowe. Lepiej wydać pierwszy nieco później, lecz starannie, aniżeli włożyć środki w imprezę, o której z góry wiadomo, że jest chybiona. W taki sposób klasyków marksizmu wydawać nie wolno.

To samo można powiedzieć o „Anty-Dühring” Engelsa. Wydany przed wojną przekład wymaga w każdym bądź razie skrupulatnego przejrzania i konfrontacji z oryginałem.

Nakoniec parę słów o tłumaczeniu „Materializmu i empiriokrytycyzmu”, dokonany przez prof. Rudniańskiego. Nie wiemy przez jaki „szereg redakcji” przeszło to tłumaczenie i czy po tych wszystkich redakcjach może być ono obecnie zakwalifikowane do druku. Wiadomo, że jeszcze w roku 1935 tłumaczenie prof. Rudniańskiego było dokładnie przejrzane przez grupę osób, doskonale znających przedmiot. Ludzie ci orzekli jednomyślnie, że tłumaczenie jest złe.

Jak widzimy, sprawa wydania tych kilku dzieł nie jest ani łatwa ani prosta, chociaż na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać inaczej. Istnienie starych tłumaczeń wcale nie usuwa konieczności przeprowadzenia żmudnej pracy redakcyjnej czy też tłumaczenia na nowo. Nad tymi sprawami należy jednak już dzisiaj usilnie myśleć — sprawy te trzeba wreszcie ruszyć z martwego punktu. Należą one jednakże do zadań, wchodzących w zakres długofalowego planu prac redakcyjnych. Tego rodzaju plan musi być realizowany równoległe z bieżącym planem wydawniczym w zakresie literatury marksistowskiej, która nadaje się do natychmiastowego przedruku. Plan długofalowy nie mieści się niestety w ramach programu minimum, który dałby się urzeczywistnić jeszcze w bieżącym roku. Jeśli udało się dzieła te wydać chociażby w ciągu przyszłego roku, można by to było oznaczać jako duże osiągnięcie na naszym froncie wydawniczym.

Sprawy wyżej poruszone nie wyczerpują oczywiście zadań, które stoją przed nami w dziedzinie wydawania literatury marksistowskiej. Należą one jednak do zagadnień najistotniejszych i najtrudniejszych i wymagają wszechstronnego przemyślenia i przedyskutowania.

\*) Charles H. Cooley, Social Organisation cyt. Pach i Burgess — Wprowadzenie do nauki socjologii.

\*\*) Fl. Znaniecki — Wstęp do socjologii.

HENRYK ULASZYN

# JEST ŹLE, ALE MOGŁO BYĆ GORZEJ...

Niewątpliwie jest jeszcze źle... Ale mogło być gorzej... Po pierwszej wojnie światowej też było źle...

Są tacy, którzy mówią, że wtedy było lepiej. Mam co do tego wątpliwości, a pogląd mój poprze moimi wspomnieniami: krótkim opisem tego, czego byłem świadkiem, co osobiście przeżyłem.



Przybyłem do Lwowa z Kijowa w końcu listopada 1919 roku, wezwany przez rząd polski na katedrę języka polskiego w Uniwersytecie Lwowskim.

Sytuacja moja finansowa była bardzo ciężka, pobory bowiem profesora zwyczajnego były bardzo małe. Koledzy miejscowi jakoś sobie radzili; przede wszystkim każdy miał mieszkanie, ubranie, bieliznę, zagospodarowanie; ten i ów to wille, to kamienice, to znów jakiś „interes"... Ja z tego wszystkiego nie miałem nic, bo tylko to, co miałem na sobie — i koldre, w której zawinięty przetrwałem w zimnej „biełuszce" miesiąc trwającą drogę z Kijowa via Biała Cerkiew i z powrotem, dalej via Lubny, więc na wschód (!), a potem na południe i zachód, więc zyzakami, do Tyraspola i Bender, i dalej przez Czerniowce do Lwowa... Była to epoka wojny domowej w Rosji: Denikin — Bolszewicy...

We Lwowie uniwersytet wcale nie zatroskał się o mieszkanie dla mnie jako swego profesora. Na szczęście nie byłem sam, miałem towarzysza podróży (zjadł się, że we Lwowie tylko nas dwóch wysiadło z pociągu, inni „kijowianie" pojechali dalej): był to sekretarz Polskiego Kolegium Uniwersyteckiego w Kijowie, sympatyczny i dobry, Jan Kamiński, który w parę miesięcy potem zmarł we Lwowie, pozostawiając po sobie u wszystkich co go znali serdeczne, ciepłe wspomnienia, pełne żalu do losu za przedwczesną śmierć...

Zaczeliśmy więc obaj odyssey po hotelkach. Wreszcie udało nam się odnaleźć pokój z jednym łóżkiem, tak małym, że był może o metr szerszy i dłuższy od łóżka. Nie rozbiłabym się, bo chłód był szalony; zawijaliśmy się w nasze koldry i tak spędziliśmy parę nocy.

Dowiedział się o tej mej nędzy mieszkaniowej kolega St. Tolloczko, profesor chemii na Uniwersytecie Lwowskim i dał mi kącik w takiejś ubikacji przy zakładzie chemii na ul. Kopernika. Do dziś pamiętam to ciepło, co promieniowało z opalonego pieca... A chorowałem podówczas ciężko po przebytych w Kijowie tarapatach. Dowiedział się o mnie wówczas mój dobry znajomy Ludgard hr. Grocholski odszukał mnie nębawem i zabrał do swej wille na ul. Orzeszkowej.

Jak trudną była podówczas sytuacja moja finansowa, tj. jak taksonowano pracę naukową, dowodzi następujący fakt. Za dziesięć lat kol. Stanisława Zakrzewskiego, historyka (1919/20),

wziął udział w jakimś doktoracie. Otrzymał honorarium, jako jeden z dwóch egzaminatorów, poszedłem razem z Zakrzewskim do fryzjera ogolić się. W rezultacie musiałem do otrzymanego honorarium coś - niecoś dodać, bo nie starczyło na zapłatę za zwykłe golenie. Lub, przypominam sobie, profesor Ludwik Finkel, znany historyk, pełniący funkcję urzędową historiografa Uniwersytetu Lwowskiego, sponsonowany podówczas, miał emeryturę tak małą, że sprzedawał swe książki, by nie umrzeć z głodu.

Tak było jeszcze na wiosnę 1920 roku, więc w jakimś 10 miesięcy po zawarciu traktatu wersalskiego (czerwiec 1919)

Żeby poprawić sytuację finansową, zacząłem pisywać w „Gazecie Porannej" wzgl. „Wieczornej" (wychodziła dwa razy dziennie) płatne artykuły, gdyż do tego czasu tylko od czasu do czasu płacono mi honoraria; nie upominałem się bowiem o nie. Obecnie musiałem sobie honoraria zapewnić. Szczególnie ciężko mi było, gdy latem 1920 roku, z powodu zbliżania się frontu, państwo Grocholscy sprzedali wille i opuścili Lwów. Musiałem się przenieść do pensjonatu (nad pasażem Mikolascha); pobory nie starczyły ani na pranie, ani na masło, którego w pensjonacie wcale nie dawano, ani na lekarstwa, papier itd. Zaczęłem więc coraz natręczywiej dopominać się od uniwersytetu wzgl. miasta o mieszkanie, no i o zapomogę na sprowadzenie meł obszernej i fachowej cennej biblioteki, pozostawionej w Lipsku (w Niemczech). Wreszcie dano mi dwa pokójki z kuchnią przy ul. Kopernika. Ale — bez mebli... Rozpocząłem więc gonić za, oczywiście, wypożyczeniem, a nie kupnem mebli. Aż tu pewnego razu Andrzej Gawroński, znany polęgłota i głośny sanskrycista, proponuje mi żebym, nim wydosłanę meble, odstąpił mu moje mieszkanie na parę miesięcy, bo on ma własne własne meble. Zgodziłem się. Lekarze wysłali mnie byjł właśnie do Krynic, gdzie dzieki pożyczce i pomocy żyjących mi lipszczan (Janusz Machulicki, b. wiceminister aprowizacji, Marian Głowacki, późniejszy dyrektor departamentu monopoli...) podreperowałem me zdrowie.

Wróciwszy upomniałem się u Gawrońskiego o zwrot mieszkania. Zaczął zwlekać i krećć. Ku jesieni, otrzymał obietnicę co do gratów od znajomych, upomniałem się kategorycznie. Otrzymałem również kategoryczną odpowiedź, że zakupił już do mieszkania węgiel na zimę, więc mieszkania nie odstąpi...

Co miałem robić? Ponownie zacząłem dopominać się o mieszkanie od władz uniwersyteckich. Na wyczekiwaniu minęła zima 1920-21 roku. Gawroński mieszkania nie zwracał, zapraszał tylko na bibki do siebie — dotrzymywał mu kroku Kasper (Kasprowiec) — gdzie upajali Bruchmala (Bruchmalskiego)... Mnie zaś doskwierała bieda, bo pensjonat pochłaniał wszystko. Wreszcie wyszedłem z cierpliwości. Postawiłem uniwersytetowi ultimatum: jeśli w najbliższym czasie nie otrzymam mieszkania — rezygnuję z profesury i opuszczam Lwów...

Do tak kategorycznego postawienia sprawy mieszkaniowej zniewoliło mnie następujące zdarzenie. Pewnego razu zaszedłem do najsolidniejszego, jakiego znalazłem, wydawcy w Polsce — p. Kazimierza Jakubowskiego. Zastałem go zirytowanego. Oto co mi opowiedział. Przed paru dniami urząd naftowy zajął w jego kamienicy 6 mieszkań... A zatem — zawinostkowałem — dla profesora uniwersytetu mieszkania nie ma (tak odpowiadał mi uniwersytet, powtarzając odmowne odpowiedzi z magistratu), ale dla nauczycieli mieszkania są... Wystosowałem więc owo ultimatum. Wrażenia nie zrobiło, nikogo nie poruszyło...

Po pewnym czasie zacząłem się pakować z myślą realizacji ultimatum. Tajemniczo z tego nie czyniłem. Wszakże nie wierzę. Jakto? Takie wybitne stanowisko, jak profesora uniwersytetu, rzucić? A jednak... I oto pewnego dnia — leżąc w łóżku — zjawia się do mnie urzędnik z magistratu wydelegowany przez prezydenta miasta, z zaoferowaniem mi nawet 4-5 pokojowego mieszkania. Wysłuchawszy, oświadczyłem:

„Pan widzi: pokój ogołocony, kuiry spakowane przy drzwiach... O mieszkanie upomniałem się dwa lata... Zełże pan powieździe panu prezydentowi: „Za późno!..."

W kilka dni potem opuściłem Lwów na stałe. Zatrzymałem się u przyjaciół w Warszawie. Przy ich też pomocy materialnej wyjechałem do Lipska, do mego przedwojennego mieszkania (było w doskonałym porządku), by je zwinąć i przygotować przewóz biblioteki do kraju. Zabiegł władz uniwersyteckich (z 9.11.1921, 3.2.1922) oraz młodzieży (14.11.1921) nie zdołały mnie już z powrotem sćiągnąć do Lwowa...

Sprawa mego ustąpienia z profesury we Lwowie z powodu fatalnych warunków mieszkaniowych i innych była przedmiotem debat w naszym sejmie oraz kilku artykułów w prasie.

Tak było po pierwszej wojnie światowej na pewnym odcinku życia — i bez tego zniszczenia, jakie spowodowała wojna światowa druga.

Ale przeszłość z oddalenia zwykle nie szarżeje a różowieje, stąd się mówi: „tak źle jeszcze nie było"...

Pod jednym względem wszakże jest, zdaje mi się, bezwzględnie i stanowczo gorzej: — pod względem etycznym: takiego alkoholizmu (słusznie episkopat w swej emuncjacji częstochowskiej potępił alkoholizm, ale niesłusznie pominał inne ważniejsze momenty natury etycznej), pogromów, szabrownictwa, jeszcze nigdy w Polsce nie było...

Czyżby był ten stan rzeczy, ten upadek moralny, rezultatem systemów wychowawczych Polski Odrodzonej z § 114 naszej konstytucji głoszącym, że „wyznanie rzymsko-katolickie... zajmuje w Państwie naczelną stanowisko"?... oraz zapewnieniami encykliki papieża Piusa XI „O chrześcijańskim wychowaniu młodzieży" („Divini illius Magistri" z roku 1929) przyznającej tylko kościołowi rzymsko-katolickiemu najwyższe walory wychowawcze, zdaniem bowiem papieża tylko kościół rzymski jest „najwyższą, najdoskonalszą wychowawczynią", rozporządzającą „zbiorem wychowawczych skarbow nieskończonej wartości"?

Czy to czasem nie zwykła rzymsko-katolicka mania wielkości?...

Henryk Ułaszyn

STEFAN OTWINOWSKI

## W KRAKOWIE

(List ósmy)

Zaczął się sezon teatralny. Co kilka dni premiera. Za dużo jest scen zawodowych w Krakowie. Ale na tym za dużo — nie koniec. Obok scen zawodowych są jeszcze teatry amatorskie. Również spoza Krakowa rozmaite przedwznie trupy pól amatorskie chcą koniecznie pokazać się w Krakowie. Używają wszystkich swoich — nawet politycznych stosunków, żeby zagrać na scenie teatru im. Słowackiego... Nie należałoby krytykować tych ohońicznych wysiłków, gdyby kierunek ambicji był właściwy. Teatr amatorski powinien być ostoją godnego życia w gromadzie. Systemem uspołecznienia, uświelenia tego życia — nie zaś sposobem wygrywania indywidualnych ambicji. Ciągłe jeszcze ten sam ciąg romantyczny. Zacząć w Tarnowie w amatorskim zespole i przez Kraków wyrwać się w świat! Drodzy przyjaciele z prowincji ambitnej a niezorganizowanej, czy nie przeceniacie tego „świata" przez duże „S"? Nie jest z nim najlepiej. Coraz bardziej zmniejsza swoje dystynkce.

Sprawa uspołecznienia aktorów napotyka na trudności także w teatrze zawodowym. Ale praca w tym względzie jest coraz większa. Za dużo było w Polsce gwiazd — za mało światła.

Sezon krakowski rozpoczął się pod znakiem autorów polskich. Teatr Słowackiego dał „Fantazego". Ożywił innę zainteresowania naszym drugim wieszczem. Bo sztuka jest naprawdę trochę ponad styl polskiego cierpienia. W dwóch pierwszych aktach bardzo współcześnie dowcipna i inteligentna. Sam bohater zachowuje się w sposób chyba rzeczywiście — egzystencjalny. Jest aktywny w próżni Z pomocą pozornego ruhu szuka czegoś Samego siebie. Kobiety używa jako zwierciadła. Miłość romantyczna jest terapią. Ucieka się do niej chory na utratę związku z życiem.

Jest poza tym „Fantazy" satyrą na polską arystokrację. Bardzo konsekwentną satyrą. Do tego stopnia, że jednym przyzwolonym człowiekiem w całej sztuce jest prosty rosyjski człowiek major Woldemar. I on właśnie — normalny — znalazłszy się w kręgu szaleństwa — ginie.



Po premierze krakowskiej rozeszła się plotka, że postać majora została dla celów propagandowych wyolbrzymiona w tekście i charakterze przez Polewkę. Autentyczne.

Teatr Kameralny TUR-u otworzył sezon znakomitą komedią Niemcewicza „Powrót Posła". Oczywiście i z okazji tej premiery były plotki. Ten poseł to znowu Adam Polewka, i wraca właśnie po sesji KRN. Sztuka napisana została dla spopularyzowania instytucji, osoby i uchwał przedwyborczych. Zarty żartami, ale z żartów tych wynika smutny fakt, że nawet wśród inteligencji znajdują się ludzie, nie znający dzieł Niemcewicza i Słowackiego. Opowiadał mi Osterwa, że po premierze „Fantazego" zjawił się w garderobie profesor U. J. z okrzykiem: „Skąd Pan wyciągnął taką doskonałą komedię. Nigdy nie słyszałem, żeby Słowacki napisał coś podobnego..."

Ludzie dobrej woli cieszą się z „odkrycia" kierownictw literackich — plotkarze podszeptują swoim zwyczajem, że sztukę klasyków przerabia się na modę potrzeb rewolucyjnych.

Nikomu nie przychodzi do głowy, że obec-

na Reforma jest także mocno spóźnionym wynikiem pracy intelektualnej pisarzy, myślicieli i działaczy z przełomu wieków XVIII i XIX-go.

W Katowicach zobaczyliśmy „Warszawiankę". Deklamacyjny utwór Wyspiańskiego w zestawieniu z prostym wierszem i realną dialektyką autora „Powrotu Posła" wydał mi się dziwactwem dosyć „barokowym". Niby temat dla każdego, kto przeżył powstanie warszawskie, bardzo aktualny, ale stylistyka dyskusji zupełnie nieprzekonywująca. A jeszcze aktor patetyzujący tragizm naszego wstydlivego pomylenia — to już zupełna pomyłka...

Panowie kochani, żebyście wiedzieli, słyszeli jak myśmy się w czasie tej naszej ostatniej prawdziwej „Warszawianki" po ludzku klócili. Jak myśmy tego Chłopińskiego od nowa i nie po aktorsku modelowali... Nawet dla inscenizatora komedii narodowych nie mają być te tragedie żadną nauką? Bardzo niepraktyczni są ci nasi „ludzie teatru".

Po przedstawieniu katowickim spotkałem znajomego fryzjera z Warszawy. Błakaliśmy się przez jakiś czas razem wśród niezwykle okoliczności powstania. Pytam się, jak mu się podobało przedstawienie. „Owszem — odpowiedział — rzecz dosyć malownicza i patriotyczna. Tylko tytuł niedobry". „Jakto?" „Bo myślę, że to rzecz nie dla Warszawiaków, a już za jedno mogą dać głowę, ta artystka co grała „Warszawiankę, to na pewno nie Warszawianka".

Na naszym stylu poważnego aktorstwa zaciążyła przewaga „wzruszającej" poezji w polskiej dramaturgii. Być może, że kiedyś wzruszenie umiało się pokrywać z patosem. Dziś patos przeszkadza wzruszeniu. Tylko ci aktorzy, którzy potrafią głośno „myśleć" za poetą, przekonywują nas do słów poezji. Bardzo rzadko — zawsze u Osterwy — słyszmy poetyckie myślenia.

Najczęściej tekst poetycki zostaje w do- brych, ale niezręcznych intencjach aktora — tylko na scenie. Widownia trapi się dziś aktorskim romantyzmem. Za dużo jest w Polsce zawodowo amatorskich scen. Za dużo w teatrze fałszywego ambicji.

Stefan Otwinowski

### WYDAWNICTWO „POLIGRAFIKA"

Łódź — Sienkiewicza 18. Telefon 180-22

Poleca ostatnie nowości:

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Hertz i Rojewski Z NASZEJ

ŁOŻY. Humoreski. Okł. barwna

proj. R. Szalasa. Form. zł

A5. Str. 176 200.—

Czerwinski M. i Paszkowski K.

WARSZAWA BOHATER-

SKA. 1939—1945. Antolo-

gia poezji i prozy. Okładka

i obwoluta proj. R. Szalasa

Rys. i zdobniki A. Puchal-

skiego. Format B5. Str. 192 300.—

Piotrowski Jan OJCIEC CU-

DZYCH DZIECI. Wspomnie-

nia o „Starym Doktorze" Jan-

uszku Korczaku. Okł. proj.

P. Świątkowskiego. Form. A5.

Str. 56 70.—

Sojecki S. i Stefański S. ŚCIA-

NY MAJĄ USZY. Powieść.

Faktomontaż. Okł. proj. P.

Świątkowskiego. Form. A5.

Str. 272 300.—

Słomczyńska Jadwiga MARIA

KONOPNICKA. Życie i twórczość.

Z portretem poetki.

Okładka barwna proj. R. Szalasa.

Form. A5. Str. 288 300.—

Slonimski Antoni LITERATU-

RA NA EMIGRACJI. Antolo-

gia „Nowej Polski". Wielo-

barwna okładka i obwoluta

proj. R. Szalasa. Format B5

Str. 384 500.—

Wells H. G. JUTRO LUDZKO-

SCI. Konieczność reorganizacji

świata. Fragment z ostat-

niej książki H. G. Wellsa

„Sfinks". Form. B5. Str. 32 40.—

# PRZEGLĄD PRASY



Niektóre fragmenty odbytego w Łodzi Zjazdu Pisarzy wyjaśniły mi w pewnym stopniu, dlaczego tygodniowy mój felieton o prasie bywa zazwyczaj tak pełen skarg na poziom jednych pism literackich i tak pełen polemik z innymi. W tej trudnej, anonimowej i niewdzięcznej pracy podobnej do pieczenia na wielomorgowym polu, sekunduje mi jeden tylko kronikarz „Odrodzenia”, atakowany przez wszystkich laszcz.

Zjazd Pisarzy ukazał bowiem rzeczywisty obraz naszej literackiej sytuacji, zresztą nie maszkowany niekiedy na szpaltach pism pewnego obozu.

W praktyce okazało się, że treść przemówień niektórych delegatów, domagając się rzekomej „Wolności”, strącała by nas w ciemną niewolę ciemnoty. Szermowanie hasłami liberalizmu w pewnych epokach bywa wielką zasługą, w innych — dziecinstwem. Sprzymiam liberalom, jak długo są niezrzeszeni; skorporowani, w Polsce roku 1946, stają się nieprzyjaciółmi. Liberalowie bronią człowieka, ale zaniebują dzieło organizowania spraw ludzkich. Lektura pism katolickich bardzo sprzyja takiej interpretacji. Myślę tu o tych pismach katolickich i o tych publicystach, którzy dalecy są od radykalizmu społecznego. Wylawiają oni dziś z warkotliwej ręki współczesnego czasu pojedynczego człowieka i stawiają go nagiego na brzegu, każąc się nad nim litować. Ale jak go nakarmić i w co go ubrać, tego nam powiedzieć nie chcą. To pozostaje słodką tajemnicą redakcji „Tygodnika Powszechnego” i jego naczelnego felietonisty, Stefana Kisielewskiego. Interesuje mnie niezmiernie, czy owa projektowana partia katolicka, której domaga się ks. Jan Piwowarczyk w nr. 42 „Tygodnika Powszechnego” w artykule „O stroniectwo dla katolików” potrafi stworzyć program, jeśli — jak pisze ks. Piwowarczyk — „Dzieła katolickie upadają najczęściej z powodu słabości ludzkich. A rozwijają się przez wielkość duchowa kierowników”. Jakie gwarancje realne dać nam może takie stroniectwo, które, nieradykalnie, czerpać będzie z encyklik papieskich koncepcje solidarystyczne, koncepcje uwłaszczania warstw pracujących w kraju, gdzie „lagodna rewolucja” już wstąpiła i uwłaszczająca, w latach, gdy szlachetne z pozoru tendencje solidaryzmu okazały w praktyce swoje prawdziwe oblicze w ustrojach faszystowskich. Wierzę p. Hilaremu Mincowi, bo projektując plan trzyletni, posiłkuje się cyframi i procentami. Nie wierzę „Tygodnikowi Powszechnemu”, gdy woła ustami Waclawa Borowskiego w nr. 37 („Człowieka a gospodarkę planową”): „Rozpatrzmy planowanie gospodarcze z punktu widzenia materialistycznego. Oparta na tej doktrynie planifikacja pociąga za sobą poważne niebezpieczeństwa dla jednostki ludzkiej...”. Autor nie mi nie mów o jakąś jednostkę moją chodzi: o chłopca na pięciu morgach, czy o chłopca na czterdziestu dziewięciu morgach, o robotnika, czy o właściciela dużego sklepu z futrami, o uczonego, czy o warszawskiego lub łódzkiego spekulanta. To zainteresowanie dla „człowieka wiecznego”, „człowieka w ogóle”, człowieka jako takiego, musi zniechęcać każdego, kto zna bodaj kilka pierwszych kartek z podręczników historii, ekonomii i przyrody.

Jest rzeczą niewątpliwą, że prasa obozu katolickiego, „Tygodnik Powszechny”, „Tygodnik Warszawski”, reprezentuje opozycję. Liberalowie, którzy żądają od nas szacunku dla cudzego zdania i cudzych poglądów, zapominają, że nie każde cudze zdanie i nie każdy cudzy pogląd jest rozsądny. Poglądy działaczy czy publicystów obozu postępowego nie sformowały się na podstawie takiego czy innego widziwnia, lecz zgodnie z doświadczeniem, w ślad za postępem wiedzy. Katolicy konserwatywni, gdy bronią swych złudzeń, winni być wysłuchani, lecz gdy proponują ich realizację, muszą się spotkać z odmową. Zresztą niech się naszym liberalom nie wydaje, że obóz postępowy „dławiąc wszelką swobodę myśli”, stawia zatwardziały konserwatyzm katolicki w pozycji obronnej. Czytamy oto w „Tygodniku Warszawskim” (wyższy stopień skamieniałości niż „Tygodnik Powszechny”) artykuł w nr. 41 p.t. „Postawa Katolicka”. Tu już nie ma mowy o człowieku i o Bogu. Cytując Komunikat Episkopatu Polskiego, p. Z. K., przytacza: „Niestety, w obecnej sytuacji katolicy polscy nie mają możności swobodnej pracy nad społeczną przebudową kraju w duchu chrześcijańskim. Dla uzdrowienia stosunków politycznych jest rzeczą konieczną i pilną zapewnić katolikom nieskrępowany, konstytucyjny udział w życiu publicznym”. Nie rozumiem tych zdań, wydaje mi się bowiem, że na sześć stroniectw politycznych w naszym kraju, dwa są stroniectwami chrześcijańskimi, t. zn. nie stoją na gruncie laicyzacji życia publicznego, nie opierają się na materialistycznym pojmowaniu dziejów i t.p. Być może, że dla katolików zgrupowanych w „Tygodniku Warszawskim” oba te stroniectwa mają program zbyt radykalny. Ale jak! wobec tego jest program Episkopatu Polskiego z Jasnej Góry? Jeśli katolicy, jak twierdzi p. Z. K., stanowią 95 proc. ludności naszego kraju, to czyż tym samym katolicy nie są zgrupowani w sześciu

politycznych stroniectwach polskich — od PSL do PPR? Wydaje mi się więc, że istnieje jakaś różnica między katolikami a Episkopatem, nie w kwestiach wiary rzecz prosta, ale w kwestii realizowania tej wiary na ziemi.

Trzeba przyznać, że lektura pism katolickich nie sprzyja pięknej formule szczerości i prawdy: tak — tak, nie — nie, Zza troski o pojedynczego człowieka widać troskę o los niewielkiej liczbowo grupy. Zza mgły rzeczy wiecznych zarysowują się granice realnej polityki i realnej ekonomii, w jakie by nas radzi wpochnąć publicyści tej prasy. Granice te są o tyle węższe od proponowanych przez nas granic, o ile plan trzyletni czy reforma rolna są szersze od wieczności.

Gdy środowisko „Tygodnika Powszechnego” sprzeciwia się gwałtownie wszelkim, nieśmiałym nawet i elementarnym próbom laicyzacji życia w Polsce, gdy nie ewangelizuje („co Bogu — boskie...”), lecz polityczne interesy księcia — kardynała dyktują trzy czwarte treści każdego numeru „Tygodnika Warszawskiego”, cóż więc dziwnego, że trudno nam uwierzyć w to, czy nawet najszlachetniejsi w tym obozie, jak Stefania Skwarczyńska, zdołają kokokolwiek przekonać. Mam na myśli artykuł Stefania Skwarczyńskiej o kwestii antysemityzmu, („Tygodnik Powszechny” nr. 42), gdzie autorka pisze: „Naturalnie, że odżegnaliśmy się od pogromów, naturalnie, że wżruszamy ramionami na historie o mordach rytualnych, naturalnie, że nas boli tyngraf z Matką Boską na piersi rycerzy łowiących żydów w pociągach (tak powiadał!) — ale nie zdajemy sobie sprawy, że jakiś nieuchwytny pył niechęci pada na wszystkie sprawy, gdzie stajemy oko w oko z problemem żydowskim”. Nie mamy powodu, by nie wierzyć jednemu choćby słowu tak uczciwej i tak szlachetnej działaczki katolickiej, jak Stefania Skwarczyńska. Ale nie mam również powodu, by nie wierzyć oświadczeniu prymasa Polski, złożonemu dziennikarzom zagranicznym po wypadkach kieleckich. Obawiam się, że nie wie lewica, co czyni prawica w obozie katolickim.

Dlatego też z wielką radością powitałem pierwsze numery „Prawa człowieka” organu ogólnopolskiej Ligi dla walki z rasizmem. W tym piśmie nikt nie wymaga od Żyda, by przyjął chrzest. Przyjmując istnienie na terytorium naszego państwa odrębnej religijnej i obyczajowej grupy ludnościowej, autorzy artykułów zamieszczonych w „Prawie człowieka” domagają się szacunku dla tej grupy wraz z jej religią i obyczajami. Trzymam stronę „Prawa człowieka”. Cóż mi to za humanitaryzm, który musi Żyda ochrzcić i zmienić jego obyczaje, po to, by go nie zabito. Wymóc szacunek dla Żyda takiego jakim on jest, jakim często chce pozostać, oto zadanie dla rozsądnych ludzi w Polsce.

Numer drugi „Prawa Człowieka”, redagowanego przez prof. Olgierda Górke, zawiera między innymi następujące pozycje: artykuł Juliusza Góreckiego „Rasizm, antysemityzm i chrześcijaństwo”, artykuł prof. Górki „Kilka prawd i cyfr z przeszłości polsko-żydowskiej”, omawiający zagadnienie stosunku lewoboznego Żydów i Polaków w naszym kraju. Następnie pismo przytacza interesujący program antyrasistowski Francji.

Jak bardzo potrzebne było takie pismo w naszym kraju, mimo sześćdziesięcioletniej praktyki rasistowskiej okupanta, niech świadczy następujący fragment, który przepisuję z nr. 2 „Prawa Człowieka”: „W związku z ukazaniem się naszego pierwszego numeru, poczyna do nas napływać korespondencja w pewnych wypadkach reprezentująca tylko mocno niewybredne wymysły... Napłynęły także inne listy jak np. ob. Piotrowskiego, który w sposób poprawny pod względem formalnym stara się motywować słuszność antysemityzmu czy uprzedzeń rasowych”.

Świadectwem, że tak tępią prąży Niemców ludność żydowska nawet w tej mizernej śłości w jakiej zamieszkuje obecnie ziemie Rzeczypospolitej, zachowała swoje formy życia politycznego, jest organ żydowskiej partii robotniczej „Poalej Sjon” lewicy „Przełom”, redagowany w języku polskim przez znanego działacza lewicowego, dr Adolfa Bermana. Dwunastostronico wy numer tego pisma, którego hasło „Wolni z wolnymi — równi z równymi!” przypomina nam tragiczne dzieje żydowskiego powstania, przynosi między in. wstępny artykuł Adolfa Bermana „Niepodległość i Socjalizm” w którym autor reklamuje słuszne prawa Żydów do niepodległości i jednocześnie kreśli program lewicy żydowskiej: „Bezkompromisowa rewolucyjna walka klasowa socjalizmu i równie bezkompromisowa walka narodowa — wyzwolenie o żydowską republikę socjalistyczną w historycznej ojczyźnie narodu żydowskiego”. Jakkolwiek rozmaite być mogą poglądy na sprawę Palestyny, jest rzeczą niewątpliwą, że lewica żydowska jest wiernym towarzyszem w walce z imperializmem angielskim. Los teraz sprzągał nasze dwa społeczeństwa — ten sam mr. Bevin, który kwestionuje granice na Odrze i Nysie, osadza żydowskich emigrantów w obozie koncentracyjnym na Cyprze. Niech mi nikt nie usiłuje wymawiać, że czasy pogardy minęły dla wszystkich mieszkańców tej ziemi!

„Kościół jest kierownikiem sumień ludzkich. Pytamy przez wiernych, ma obowiązek odpowiadać, by nieumiejętnych pouczać, a wątpiących dobrze radzić”.

To zdanie listu pasterskiego biskupów polskich, ogłoszonego w dniu 10 września na Jasnej Górze, napelnilo mnie straszliwym niepokojem. Kim jestem? Czy jestem nieumiejętny, czy wątpiący? Czy muszę być pouczony, czy też trzeba mi dobrej rady? Postanowiłem list raz jeszcze przeczytać od początku, aby pozbyć się dreczącej zagadki.

Przy pierwszych słowach wszystko było dobrze. Ten styl wsparty o cnotę i dostojność zawsze cieszył mój wzrok i moja dusza przywykła do prostoty uczuć. Ale trwało to krótko. Przy jakimś zdaniu zdrzątałem. Zważyłem, byłem wątpiący! Przeczytałem je trzy razy: „O moralnych obowiązkach wobec państwa dotychczas najskuteczniej pouczał Kościół. Gdzie tej nauki zabrakło, państwo brnęło w kłopoty i dochodziło do anarchii...”

Księża biskupi — wątpię! Nie mogę inaczej, albowiem żyje w kraju, którego doświadczenia w przeszłości ucza czego innego. Czyż naprawdę żądasz od ludzi, aby wierzyli, że w Polsce XVIII w. zabrakło nauki Kościoła? Ze dlatego upadła? Anarchia szlachecka, jako skutek ateizmu — nie trafiła mi do przekonania. Wątpię, czy o moralnych obowiązkach wobec państwa Kościół uczył polskich purpuratów i szaraczków istotnie najskuteczniej. A ponadto zbyt dobrze znam dzieje innych narodów: katolickiej Hiszpanii z wiernym synem Kościoła, który nazywa się Franco; katolickich wodzów Italii, błogosławionych przez Kościół, gdy ruszali w podbój chrześcijańskiej Abisynii. Czy tak wyraża się skuteczność nauk kościelnych o obowiązkach i stosunku do państwa? Postokroć wątpię.

Ale w chwili potem okazało się, że jestem nieumiejętny. Nie wątpię, lecz nieumiejętny. Nie umiem bowiem trafnie komentować kapłańskich zasad listu. Zdarzyło się to, gdy zapragnąłem wyciągnąć logiczną konkluzję z toku pasterskich myśli. Czytałem: „Kościół nie wdaje się w partyjno-polityczne dyskusje, tylko, podaje zasady moralno-religijne, według których katolicy sami powinni urobić swoje sumienie wyborcze. Kościół nie prowadzi agitacji wyborczej”.

Muszę być pouczony, i to jak najprędzej, bo w dalszym ciągu biskupiego orędzia znalazłem zdania, których nie umiem pogodzić z cytowanymi powyżej. Zdania te brzmią: „Jedni chcą budować życie państwa na mocnych podstawach chrześcijańskich, inni szukają ratunku dla świata we wszechwładzy państwa bezbożnego, materialistycznego. Niektóre państwa chcą odsunąć religię od wpływu na życie publiczne, dając do rozdziału religii i życia Kościoła od państwa, chcąc zamknąć Kościół w czterech ścianach świątyni... Nawet małe dzieci w przedszkolach usiłuje się wydobyc z pod wpływu religijnego, byliby tylko osłonił je przed „niebezpieczeństwem” Boga... Kościół jest stale krzywdzony w swych pra-

wach pod pozorem rozdziału Kościoła i Państwa... Skoro sprawy religijne tak mocno wiążą się dziś ze sprawami politycznymi, nie mamy zamiaru tego związku rozluźniać lub zrywać”. (Podkr. Kandyda).

W tym miejscu przypomniała mi się piosenka, którą mi jako dziecku śpiewała stara piastunka: „Nie wiedziała rodzina, że niedolega ma syna”. Okazałem się bowiem niedolegą. Nie umiałem pogodzić tych biskupich zdań z poprzednimi, które twierdzą, że Kościół nie prowadzi agitacji przedwyborczej. Miałem przecież w ręku wytrawną ulotkę przedwyborczą, iakiej nie powstydziliby się fachowiec od propagandy! Ulotka, która można łatwo odczytać, skoro wpadnie się na ów kapłański szyfr — szyfr dostojności i cnoty, co ostantia tu każde niemal słowo: stoimy ponad rozgrywkami partii, ale biada wiernym, jeśli spróbują oddać głos na partie zablokowane. Pozostawiamy swobodę sumienia wyborcom, ale z góry potępiamy każdego, kto zechce poprzeć stroniectwa nie respektujące naszych interesów. Oddajcie cesarzowi co cesarskie, a co jest bożego — Bogu; lecz wara państwu od dóbr kościelnych; wara — nawet jeśli dobro Państwa wymaga uszczuplenia praw kapłańskich.

Nigdy nie odczyta tego listu, kto nie ujrzy sutanny za słowem „Bóg”, felietów za słowem „dobro”; kto nie zrozumie, że „moralność” znaczy tu posłuszeństwo pralatorowi, a „wiarą” — stan pokory, w którym nie legnie się myśl. Umiejętni i wolni od zwątpienia będą ci, co potrafią posłuszenie przetłumaczyć obłudę na prawowierny sens i zamknąć oczy na kłamstwo. Kler zawsze posiadał wybomych stylistów, którzy umieli słowami ostantiać myśl biskupich wezwań. W liście jasnoogómskim znajdziecie wiele takich słów. Niejedne mają słodycz miodu; są przeznaczone dla tych, w których zbiera gorycz: „Każdy katolik musi znać życie polityczne swego państwa i nim żywo się interesować... Musi być wrażliwy na nakazy sprawiedliwości społecznej. Nie może być obojętny na niedzę ludzka. Musi pragnąć stałego poprawiania warunków bytowania ludzi”.

Musi być wrażliwy, nie może być obojętny, musi pragnąć... Bravo, stylściści kościelni! Jeszcze krok, jeszcze słowo a może usłyszymy: musi myśleć, działać, walczyć, nie wolno mu być bezczynnym. Ale nie napiszecie tych słów. Bo z myśli ludzkiej wychodzi działanie, którego się boicie. Działanie, które równoprawnia bezrolnych i daje w ręce robotników zakłady pracy. Nie napiszecie tych słów, bo lękacie się wątpiących, którzy zapytają dlaczego zawsze się tak dzieje, że ci, co walczą z niedzą ludzka — walczą również z wami!

Nie będę czytał listów pasterskich, bo styl, w którym słowa służą do ostantiania myśli, nie odpowiada prostocie mych uczuć. Chociaż w ostatnim liście myśli ostantiane są złe. Zza słów przegląda brutalny interes polityczny. Czyżby zabrakło stylistów?

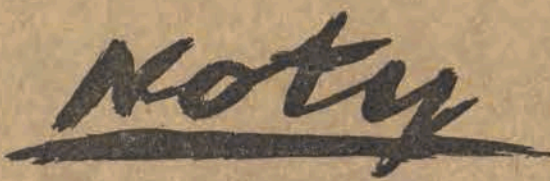
Kandyda.

## Gra dyplomatyczna



Faites vos jeux, messieurs...

rys. Mieczysław Piotrowski



Jak wygląda naprawdę denazyfikacja

Z serii artykułów, które ukazały się ostatnio w „Chicago Sun” wynika, że jest mało prawdopodobnym, aby amerykański zarząd wojskowy wszczął procesy przeciwko przemysłowcom hitlerowskim w Niemczech.

Dziennikarz stwierdza, iż nie jest dla nikogo tajemnicą, że amerykański zarząd wojskowy ma więcej zaufania do reakcyjnych kół niemieckich, niż do kół lewicowych, które walczyły przeciwko Hitlerowi.

Niedawno grupa amerykańskich oficerów do spraw denazyfikacji odbyła naradę z głównymi doradcami gen. Clay'a. Oficerowie amerykańscy skarżyli się, że sądy niemieckie niechętnie przeprowadzają czystkę elementów hitlerowskich.

Gen. Clay zażądał w końcu września zatwierdzenia ustawy w sprawie okupacyjnej amerykańskiej, na mocy której miały ulec rozwiązaniu kartele niemieckie i wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe.

Zdaniem korespondenta „Chicago Sun” urzędnicy, pozostający na wysokich stanowiskach w departamencie gospodarczym zarządu wojskowego, nigdy nie aprobowali kroków zarządu wojskowego, wymierzonych przeciwko wielkiemu przemysłowi niemieckiemu.

O antysemityzmie walczącym

Dziwi mnie, że dotychczas nie znalazłem w prasie żadnej wzmianki o wydarzeniach mających miejsce w Zakopanem. Trzy bandy burżujacy od przeszło roku na terenie Podhala postawiły sobie za cel oczyszczenie Zakopanego z Żydów.

W związku z tym zdarzył się wypadek, że bandyci wtargnęli do mieszkania Żydówki (ul. Grunwaldzka) — ta uprzedzona na moment przed napadem ratowała się ucieczką przez balkon.

W skład band „Błyskawicy”, „Ognia” i „Podbi-Petv” (sic!) wchodzi Polacy, Czesi, Słowacy i Niemcy.

Wobec milczenia prasy zdarzyć się może że część obywateli kraju dowiaduje się o ekscesach antyżydowskich z reportażów krytyka polskiego przebywającego we Francji.

„Komedia”

w „Tygodniku Powszechnym”

Wszystkim mieszkańcom Krakowa znana jest poczciwość redaktora „Tygodnika Powszechnego”, Jerzego Turowicza. Wieść o niej musiała rozlać się szeroko po kraju, skoro pan Roman Niewiarowicz, były reżyser warszawskiej „Komedii”, teatru w służbie niemieckiej propagandy w czasie okupacji, zdołał opętać Boga ducha winnego kierownika katolickiego pisma i wtargnąć na łamy „Tygodnika Powszechnego” ze swymi ze wszech miar podejrzanymi rewelacjami.

P. Niewiarowicz, na którym ciąży zarzut kolaboracji, nie został dotąd oczyszczony przez miarodajne instancje. Jest postacią, wobec której obowiązuje w dalszym ciągu co najmniej nieufność. Nieufność ta wzmagają się w miarę czytania jego wspomnień, ogłoszonych po raz drugi w „Tygodniku Powszechnym” (Nr 83), w których p. Niewiarowicz wyręcza sąd, zapoznając społeczeństwo ze swą obywatelską postawą w czasie okupacji.

towarzyszył dziwny pech: wszystkie dowody jego patriotycznej działalności zaginęły. Świadczenie jego wyczynów kryją się w cieniu anonimowości. Jedyny świadek wymieniony z nazwiska to eks-urzędnik niemieckiej policji kryminalnej oraz aktorzy również skompromitowani grą w teatrach podczas okupacji.

Nie wiemy kim jest p. Niewiarowicz — człowiekiem niesłusznie posądzanym, czy kolaborantem — bo, powtarzamy: przewód sądowy jeszcze tej sprawy nie wyświecił. Jest postacią podejrzaną. Również podejrzane jest to co pisze. Śmiemy więc wątpić, czy redaktor Turowicz nie powinien powściągnąć swej dobrodusności w tej śliskiej i ciemnej aferze.

Jastrząb

W „Dziś i Jutro” odezwał się, tym razem pod własnym imieniem, p. Alfred Łaszowski, którego pazur poznaliśmy w swoim czasie w artykułach podpisywanych pod pseudonimem Edward Jastrząb (patrz „Życie Literackie”, „Tygodnik Powszechny” i „Dziś i Jutro”).

Paradoks

Chcę być dobrze zrozumiany: nie mam zamiaru w tej nocie zrzędnąć na wielkie zdobycze, jakie dzięki dokonaniom reformom osiągnięte zostały na bliskim mi odcinku: odcinku uniwersyteckim.

Praktyka naszego życia uniwersyteckiego została wzbogacona doświadczeniem pierwszego ukończenia kursu na t. zw. roku wstępnym. Instytucja roku wstępnego jest niewątpliwie zdobyczą demokracji. Ale... Ale czy nie zdziwi czytelnika, gdy mu powiem, że w Uniwersytecie Łódzkim kandydatki na Wydział Lekarski i Stomatologiczny stanowią wśród studentów kursu wstępnego około 85%?!

Czy nie ma w tem jakiegoś paradoksu? Drugą zdobyczą demokracji jest bezpłatność (względna zresztą jeszcze w tej chwili)

wyższego nauczania i (jeszcze względniejsza) społeczna pomoc materialna dla młodzieży studiującej. I co z tego? W okresie, gdy ta pomoc materialna jest przecież jeszcze tak bardzo według naszych pojęć niewystarczająca — jest ona jednak już dostatecznie duża, by skłonić do nadużyć.

Obiad przeznaczony dla studenta musi trafić do studenta. Prawo korzystania z kursu wstępnego, należy zapewnić tym, dla których został on stworzony.

Skarb „Dziennika Łódzkiego”

„Krzepki i inteligentny film francuski, którego obrazy oglądaliśmy przed wojną, mając pod rządami Pétaina, pod dozorem niemieckim — jeszcze możność egzystencji, zrodził ten obraz, którego akcja mogłaby się dziać w dowolnym czasie, pod okupacją, przed wojną ostatnią, nawet przed wojną światową, czy obecnie (gdy zapomniemy o pradziadku Goupi-o „Cesarzu”), gdyż tworzywem jego jest chłop, którego psychikę nie zmieniają lata, który z gruntu pozostaje zawsze ten sam — przywiązany do swojej ziemi, chciwy na pieniądź przez to (jak nam wyjaśnia autor scenariusza słowami jednej z osób — iż w trudzie, w bliźnim pocie czoła zdobywa chleb codzienny — pracowity, a prowadzący stale utarczki, swary o przysłówiową międze, o kęs chleba dany biedniejszym z rodziny, o pieniądze”.

Zdanie powyższe zawiera: około 110 słów, 18 przecinków, 5 myślników i 3 nawiasy. Te fakty zdołałem ustalić ponad wszelką wątpliwość. Gorzej natomiast wypadły poszukiwania, zmierzające do odcyfrowania treści czyli tak zwanego sensu.

Autor recenzji z filmu pt. „Skarb rodziny Goupi”, zamieszczonej w 296 (483) numerze „Dziennika Łódzkiego” zaniedbał przed umoczeniem pióra w kałamarzu wykonać dwie czynności. Nie zwilżył czoła zimną wodą i nie wypił conajmniej jednej szklanki tejże. To fatalne zaniedbanie odbija się na czytelniku, który przy lekturze owego elaboratu sam musi poddawać się wspomnianym zabiegom.

Na „Skarb rodziny Goupi” nie pójdę. Nie lubię być niedopieczony.

Najprostsze pytanie

„Przechodząc przez plac Św. Eksupera, p. Compagnon wskazał ręką na dom Denisseau.



— Już się teraz jakoś nie mówię, rzekł, o tej jasnowidzącej, która pozostawała w styczności ze świętą Radegundą i wielu świętymi z raju. Czy pan był u niej, Bergeret?

Bo mnie w okresie Jej największego powodzenia zaprowadził do niej Lacarelle, sekretarz generalny prefekta. Siedziała na fotelu z zamkniętymi oczyma, a z tuzin wiernych zadawał jej pytania. Pytano jej, czy zdrowie papieża jest zadawające, jakie będą skutki porozumienia francusko-rosyjskiego, czy będzie uchwalony podatek dochodowy i czy wkrótce wynajdzie się jakieś lekarstwo na gruźlicę.

— Nie, bynajmniej tak nie sędzę, rzekł p. Bergeret. — Nie odpowiedziała nic, ciągnął dalej p. Compagnon, nic w ogóle. Zachowała milczenie. Powiedziałem „Jak święta Radegunda, może nie wiecie, ile wynosi logarytm z 9? To nie do wiary”. Byli tam spensjonowani pułkownicy, księża, starsze damy i rosyjscy lekarze.

Cechy ducha narodowego Niemiec

Zdaniem amerykańskiego pisma okupacyjnego w Niemczech „strach przed Słowianami jest cechą odwieczną Niemiec, a w chwili obecnej jest silniejszy niż kiedykolwiek w historii”.

Rozważania na temat „odwiecznych” cech okazują się jak zawsze płodne, ciekawe i mądre.

O gospodarce Europy

Walter Lippman pisze na łamach „New York Herald Tribune”: „W zniszczonej przez wojnę Europie system kapitalistyczny nie ma już nic do powiedzenia. Zniszczenie Europy jest zbyt wielkie, aby mogła ją odbudować inicjatywa prywatna. Może to jedynie zrobić planowy wysiłek rządów socjalistycznych. Europa nie może powrócić do inicjatywy prywatnej”.

Zdaniem Lippmana opinia amerykańska powinna jak najszybciej zdać sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły w Europie i musi pogodzić się z tym, że gospodarka planowa jest jedynym wyjściem dla zrujnowanej Europy”.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z notatką w Nr 40 (58) „Kuźnicy” umieszczoną w Notkach pod tytułem „Czy do quia absurdum” podpisaną przez szym, pozwalam sobie uzupełnić ją następującymi wyjaśnieniami:

Omawiając ten fakt z kolegami, którzy w tym okresie byli w Częstochowie stwierdziłbym, że pozycje sowieckich reaktywnych moździerzy — katiusz — znajdowały się na Pl. Zygmunta w odległości około 1,5 km od Jasnej Góry; pozycje niemieckie we wsi Gnaszyn 2—3 km od Jasnej Góry. Na Jasnej Górze — panującym wznieśleniem nad okolicą — znajdował się punkt obserwacyjny Czerw Armii. Nie tylko nam, elewom Oficerskiej Szkoły Artylerii, ale każdemu myślicielowi człowiekowi wyda się nonsensem ostrzeliwanie własnego PO; natomiast strzelanie osiowe lub przybliżone do osiowego — które wtedy miało miejsce, sprawiło że strzały przechodziły obok lub poprzez Jasną Górę, co zasugerowało księdzu mniemanie, że sowieckie wojsko ostrzeliwyje klasztor.

Jeśli chodzi o morze, to w pobliżu wspomnianej wsi Gnaszyn znajduje się staw „Bałtyk”. Wspomniany cud polega na krótkich strzałach lokujących się w „morzu” — n.b. w stawie „Bałtyk”. Tyle co do cudu. Obawy autora notatki co do studenta et consortes podzielamy w 100 proc.

Korzystając z listu pozwalamy sobie wyrazić redakcji „Kuźnicy” najserdeczniejsze uznanie za wydawanie tak interesującego i pouczającego czasopisma. Jeśli można nam wyrazić swoje skromne życzenia, to chcielibyśmy, by w „Kuźnicy” pojawiało się więcej artykułów z dziedziny polityki — problemów międzynarodowych — oraz marksizmu, a szczególnie nowych, wniesionych doń wartości.

Z najserdecznym pozdrowieniem w imieniu grupy podchorążych Of. Szk. Artylerii (—) K. Mariański (—) C. Probst

P. S. Z największym zainteresowaniem czytamy artykuły pp. St. Majewskiego, dr. A. Schaffa i Stef. Żółkiewskiego. Artykuł p. Majewskiego pt. „Podstawy ekonomiczne imperializmu niemieckiego w latach 1919—1939” bardzo się nam podobał; naoznajd nam motory imperializmu niemieckiego. Przydałoby się omówienie ideowej nadbudowy hitleryzmu. Prosimy o przekazanie naszych serdecznych życzeń Autorom.

Komunikat

Nowy Zarząd Główny Związku Zawodowego Literatów Polskich wybrany przez Walny Zjazd Delegatów ZZLP dnia 27.10. br. ukonstytuował się:

Prezes: Kazimierz Czachowski (Warszawa), wiceprezes: Jerzy Zagórski (Kraków), wiceprezes: Stefan Żółkiewski (Łódź), sekretarz: Juliusz Żulawski (Łódź), skarbnik: Aleksander Wat (Warszawa). Członkowie: Wojciech Natanson (Kraków), Wilhelm Szewczyk (Katowice).

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”. REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI. Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13. Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42. CENY OGŁOSZEŃ: Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 spaite. Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, świrki 4. D—11125